Dodatek. do „Gazety Lwowskiej“.

PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rok XLII.

Tom XLII. — Zeszyt III. Marzec — 1914.

Odpowiedzialny redaktor: Adam Krechowiecki.

WE LWOWIE.
Nakładem wydawnictwa „Gazety Lwowskiej“.
Z drukarni Wł. Łozińskiego.
(Zarządca J. Niedopad).
1914.

Treść zeszytu.

O zapomnianych pismach Asnyka

nieobjętych żadnem z wydań zbiorowych.

Przyczynek do dziejów twórczości El...y'ego,

Ciąg dalszy.

IV.

Do roku 1868 był już Asnyk autorem Snu grobów, tudzież całego szeregu wierszy lirycznych, które, drukowane od r. 1864 w lwowskim *Dzienniku literackim*, niebawem miały się złożyć na wydany we Lwowie u Wilda tom pierwszy jego poezyj.

Nadto napisał w tych czasach powieść, która, jako „opowiadanie hreczkosieja" pod tytułem Panna Leokadya zaczęła od 7. kwietnia 1868 r. drukować się w tymże *Dzienniku literackim* w nr. 14, a skończyła się w nr. 21 z d. 26. maja t. r.

Dlaczego jej Asnyk nigdy nie zamieścił w wydaniach zbiorowych swych pism? Prawdopodobnie dla braku nakładcy, a może dla pewnych tendencyj politycznych, które w tej opowieści występują dość jaskrawo... W każdym razie jest to rzecz, pełna pierwszorzędnych zalet literackich, które do dziś dnia czynią z niej jeden z najlepiej napisanych utworów belletrystycznych polskich. Mało jest u nas powieści i nowel równie starannie opracowanych, z równą dbałością o język, o styl, o dobór wyrażeń, o kompozycyę, słowem, o szlachetność formy. Pod tym względem Panna Leokadya zawsze może służyć za wzór, jak się powinno pisać rzeczy powieściowe, jeżeli te mają należeć do literatury pięknej, a nie do śmieci literackich, pisanych na kolanie, aby zbyć i wziąć...

za nie honoraryum. Znać, iż Asnyk, choć opowiadanie to ogłaszał nie pod własnem nazwiskiem, ale pod pseudonimem Jana Stożka, z taką samą artystyczną sumiennością odnosił się do prozy, jak do formy w swych utworach wierszowanych, iż nim rzecz oddał do druku, całą wpierw ogładził, wycyzelował, a pewno i przepisał na czysto. Jako styl bowiem, jako forma, jako wykończenie w najdrobniejszych szczegółach, Panna Leokadya jest bez zarzutu, tak, iż ją śmiało można stawiać za wzór, jak podobne utwory, jeśli chcą pretendować do zaszczytnego tytułu dzieła sztuki, powinny być pisane. Czytając to opowiadanie z przed lat 45-ciu, skreślone wprawdzie przez znakomitego poetę, ale bądź co bądź przez pisarza początkującego, zaledwie 29-letniego, którego ta powieść była pierwszym utworem tego rodzaju, trudno się opędzić refleksyi, iż jednak na punkcie kultury literackiej, zamiast zrobić odpowiednie postępy, cofnęliśmy się raczej, iż nasi dawniejsi pisarze, ci, którzy byli rówieśnikami Asnyka, mieli większą znajomość pisarskiego kunsztu, aniżeli wielu dzisiejszych z pomiędzy młodszej generacyi: lepiej pisali po polsku, a przytem, co ważniejsza, dawali rzeczy wykończone, a nie — jak się dziś mówić zwykło — puszczone. Pisanie z numeru na numer, tak dziś będące w modzie, również nie było znane.

Co pewna, iż Panna Leokadya Asnyka, pisana jest doskonale, stylem jasnym, wytwornym, zwięzłym, bardzo wypolerowanym, a jako taka, czyta się nadzwyczaj miło, z wielkiem zainteresowaniem; bo prócz wielu cechujących ją zalet, jak przenikliwość i trafność obserwacyi, jak spore dawki humoru i soli atyckiej, ukryte pod pozorami najściślejszego objektywizmu, posiada jeszcze i tę wielką zaletę, iż nie jest powieścią nudną, przeciwnie, trzyma uwagę i interes czytelnika w nieustannem naprężeniu, czego również o wielu dzisiejszych powieściach naszych t. zw. młodych powiedzieć nie można. Przedstawione w niej typy, choć na swój czas były jeszcze bardziej charakterystycznemi, bardzo niewiele straciły ze swej typowości. Można powiedzieć o nich, iż raczej są ubrane niemodnie, bo według mody z r. 1868, ale ich dusze, ich sposób myślenia, ich śmieszności i wady, ich obłuda i chęć pozowania na co innego, niżeli są w istocie, ich snobizm i arystokratyczne pretensye, tak właściwe naszej szlachcie wogóle, nic się nie przestarzały, są takie same, jak podobne spotyka się i dzisiaj.

Taką jest bohaterka romansu, panna Leokadya, typowa panna na wydaniu, aspirująca do zrobienia świetnej partyi, marząca o wejściu do arystokratycznej sfery: takimi są jej oboje rodzice, państwo

Bąbalińscy, zadzierający nosa do góry, dmący niewiadomo w co: takimi są kosmopolityczne typy rycerzy przemysłu, ktorych i dziś mnóstwo spotyka się na Riwierze, jak się ich dawniej spotykało nad Renem; takim jest sympatyczny bohater powieści. Jan Stożek, poczciwy z kościami „hreczkosiej“, prostak, ale natura szlachetna, czysto polska, wcale nie pospolita.

Panna Leokadya, rozpieszczona jedynaczka, w domu Lodzią przezywana, „była to bardzo miła, dobra i wykształcona panienka, a przymioty ciała i duszy, którymi została obficie wyposażoną od natury, jak również i dotykalniejszy posag, składający się ze znacznej gotówki i dobrze zagospodarowanej wioski, kazały ją uważać za jedną z najlepszych partyj w powiecie“. Ukończywszy nauki w jednym z sławniejszych pensyonatów w Krakowie, biegle grająca na fortepianie, powróciła w lipcu 1862 r. na wieś do domu rodziców i... czekała na aspiranta do jej ręki. Jako młode dziewczę, „urocze to było zjawisko“.

> Wysmukła blondyna o zaokrąglonych i wykończonych formach, pięknych i pociągających rysach twarzy, dużych niebieskich oczach i przecudnej lekkoróżowej karnacyi, żywo przedstawiała ideał cielesnej piękności Rubensa z dodatkiem tego nieuchwytnego wdzięku i blasku, który tylko jeden Corregio z pod pendzla swego wydobywać umiał. Może tam zanadto było Rubensa, a za mało Corregia, alem się nad tem w tej chwili nie zastanawiał... Panna Leokadya zawstydzała mnie na każdym punkcie, zarówno wdziękiem i łatwością swojej wymowy, jak i bogactwem swoich wiadomości, które nawet w sferze politycznej przesięgały daleko — przynajmniej jak mi się zdawało — zakres mojej wiedzy. Nadewszystko zaś zabiła mnie znajomością literatury angielskiej i estetycznemi poglądami na sztukę. Głos jej, dźwięczny i mile wpadający przez ucho do serca, odebrał mi resztę przytomności, tak, że wkrótce, jak to się mówi w dobrej polszczyźnie, trzech nie umiałem zliczyć.

Przy kolacyi

> panna Leokadya błyszczała znów lekkim dowcipem i humorem, a ja, nieszczęśliwy, przestraszony prawie tylu doskonałościami, napróżno usiłowałem dodać sobie fantazyi i polotu kilku kieliszkami wytrawnego wina. „Nie łatwa to będzie sprawa“, pomyślałem sobie w duchu z głębokiem westchnieniem, „zyskać serce takiego feniksa, a tu

panie Janie gotoweś się zakochać po same uszy". I rzuciłem przeciągłe spojrzenie na pannę Leokadyę, w ostatniej nadziei, że może dojrzę jakiej małej plamki na mojem słońcu, która mi doda nieco otuchy, ale, niestety, oczy moje spotkały się z jej błękitnemi oczami, których bijący promień olśnił mnie i przejął całego rozkosznym dreszczem.

Zadrżałem, jak pod dotknięciem galwanicznego stosu, i odsunąłem podawanego mi przez pana domu jarząbka, zwierzyny, której nigdy nie mam zwyczaju odmawiać. Znak to był oczywisty, że zostałem rażony strzałą Kupidyna, i pani Bąbalińska, zajadając z całym spokojem ducha konfiturę z róży, spojrzała na mnie z tryumfującym uśmiechem.

Doskonałymi typami, które i dziś jeszcze nie straciły nic ze swej żywotności, są ci państwo Bąbalińscy. On, lubiący rozprawiać o przyszłości demokracyi w Europie,

znanym był w całej okolicy, jako demokrata i postępowiec, szczepiony na pniu szczerego szlachcica polskiego dawnej daty. Miał on zawsze, jak to sam o sobie opowiadał, co w myśli, to i na języku, nic w bawełnę nie obwijał, fumów nie znosił, etykiety nie zachowywał, arystokratycznych form i tytułów nie szanował, a co gorsza, śmiał się nawet publicznie chlubić, że nie był żadnym hrabią lub baronem, ale prostym sobie szlachcicem, o co, jak utrzymywał, trudno teraz w Galicyi na te ciężkie czasy.

Żona jego, typ romantyczki,

była to osoba lat czterdziestu, ze śladami piękności na twarzy, chuda, poważna, z cieniem melancholii i pewnej dystynkcyi w postawie, ruchach i obejściu. Była bardzo oczytana, szczególniej w romansach francuskich, bo to było jej główną namiętnością, czuła się nieco nieszczęśliwą z mężem, który wyższego polotu jej ducha ocenić i zrozumieć nie mógł, mięsa nie jadała prawie wcale, żywiąc się wyłącznie konfiturami, sorbetami i cukrami, które, po romansach francuskich, stanowiły drugą jej namiętność, ubóstwiała Lamartina, księżycowe noce, lubiła często rozmawiać o powinowactwie dusz i cierpiała stale na nerwy. Zresztą bardzo dobra Polka, pomimo uwielbienia literatury francuskiej, z mężem żyła przykładnie, znosząc jego rubaszność z prawdziwie chrześciańską rezygnacyą, i kochała sercem matki swoją jedynaczkę, dla której marzyła o jakiejś wielkiej i heroicznej miłości. Na mnie była bardzo łaskawa ze względu na pamięć

mojej matki, której była wielką przyjaciółką i raczyła nawet dopatrywać się we mnie pod zwierzchnią szlachecką korą podobieństwa do niejednego ze swych ulubionych bohaterów romansów.

Ponieważ i ojciec panny Leokadyi, dzięki stosunkom sąsiedzkim i przyjaznym z rodzicami Jana Stożka, był dlań usposobiony bardzo życzliwie i przychylnie, więc nic naturalniejszego, jak to, że młody dziedzic z Wulki, rozmiłowawszy się w pięknej pannie z Borowca, z którą przecież od dziecka, jako studencik na wakacyach, tak często bawił się w ogrodzie borowieckim, umyślił starać się o nią, ożenić się z nią. Wszak był przystojny, młody, inteligentny, przyzwoity, ze stanowiskiem, dlaczegóż by więc nie miał się pokusić o rękę pięknej i bogatej jedynaczki, u której rodziców przecież, jako sąsiadów zaprzyjaźnionych z jego ś. p. rodzicami był prawie w łaskach! Tak rozumując, zaczął konkurować o pannę.

Naturalnym porządkiem rzeczy stałem się coraz częstszym gościem w Borowcu i po upływie mniej więcej trzech tygodni zainstalowałem się tamże na dobre, nie opuszczając dnia żadnego w składaniu hołdów mojej wybranej piękności. Rodzice i panna przyjmowali mnie bardzo serdecznie i mile, mimo to jednak nie mogę powiedzieć, aby rzeczy szły pożądanym trybem, bo tylko ja jeden rozpłomieniałem się coraz bardziej miłosnemi afektami, gdy tymczasem panna zdawała się być przyjaźnie dla mnie usposobioną, ale nic więcej. Wspólne przechadzki, zabawy, muzyka, śpiew i rozmowy działały na mnie, jak potężne narkotyki, pod wpływem których w czarujących fantasmagoryach i rozkosznych wrażeniach przesypiałem życie. Nieznacznie, mało pomału, z tych chwytanych w locie i rzucanych na stos jeden iskier, wyrosła jedna wielka silna namiętność, odejmująca mi możność rachuby i rozumowania, wobec której wszystkie plany konsekwentnego postępowania w osiągnięciu mego skarbu w przyszłości, jak mgły, się rozwiały. Zacząłem żyć teraźniejszością bez myśli o jutrze, upojony wrażeniami, które każdy dzień przynosił, uszczęśliwiony pielęgnowaniem w własnej piersi uczucia i pragnący przeciągnąć tylko w wieczność ten stan rozkosznej ekstazy. Parę godzin spędzonych w Borowcu dostarczały mi dostatecznego na resztę dnia zapasu szczęścia. Kilka spojrzeń, kilka uśmiechów panny Leokadyi, jeden tęskny mazurek Szopena, jedna zanucona na pożegnanie śpie-

wka, były dla mnie najwyższemi skarbami, które unosiłem do Wulki, marząc o nich przez noc całą i wyciągając z nich różne dla siebie wróżby. A jednak mimo całego szału i upojenia, w jakiem zostawałem, czułem przecież, instynktem raczej, a nie zastanowieniem, że interesy moje, jak to już mówiłem, nie idą wcale pomyślnie. Żadnych bowiem z tych symptomatów, które na mnie aż nadto były widocznemi, nie mogłem dostrzedz na pannie. Owszem, w całem jej postępowaniu ze mną mogłem zauważyć najwyższy spokój i nawet pewien przebijający się odcień odczutej wyższości nademną. Nigdy się nie mieszała, ani nie zapłoniła na moje przybycie, nigdy też nie okazała żalu, gdym ją opuszczał. Zdawała się lubić mnie, jako dobrego znajomego, który jest w stanie uprzyjemnić jej niejedną chwilę na wsi, ale też żadnem czulszem uczuciem pierś jej dotąd nie zagała. Próżno śledziłem w rozmowach, często nawet podnioślejszych i patetycznych, jakiego śladu wzruszenia, któreby się dało na korzyść moją tłumaczyć; rozmawiała ze mną zazwyczaj, jak mistrz z uczniem swoim, i zapalając się w toku rozmowy, zapalała się jedynie do swojej własnej myśli, mało zważając na takiego, jak ja, oponenta.

Z natury romantyczna i usposobiona do marzeń wszelkiego rodzaju, panna Leokadya poetyzowała i marzyła bezwzględnie, bez żadnego jednak śladu zastosowania swych poetycznych fantazyi do kochanka z ciała i krwi, jakim ja być pragnąłem. Ideał jej, jak to zmiarkować mogłem, był jeszcze o sto mil od rzeczywistości. Był to zawsze jakiś rycerz, lejący krew za ojczyznę (panna Leokadya miała bowiem bardzo wyegzaltowane patryotyczne uczucie), dokonywujący długiego szeregu dzieł wiekopomnych i heroicznych poświęceń, coś nakształt awanturniczego Beniowskiego, na pół dzikiego Sawy lub nikczemnego Polelum, coś nareszcie zarywającego więcej na Donkiszota, niż na pospolitego, jak ja, hreczkosieja. Tak więc w bohaterach poematów Słowackiego arcyniebezpiecznych znalazłem rywalów, z którymi walka w sferze fantazyi i urojenia stawała się dla mnie niepodobną. Napróżno sprowadzony staraniem panny Leokadyi na poetyczne *credo* Słowackiego, z poświęceniem ulubionego mi dawniej Mickiewicza, zacząłem przejmować się duchem gorączkowej podniosłości, która go cechuje; napróżno przyswoiłem sobie jego styl i język, odczytując nieustannie wspólnie z moją

Korynną jego przecudownie kreślone obrazy; próżno usiłowałem pojąć i rozwikłać takiego Króla ducha; zawsze bowiem w oczach panny Leokadyi zostawałem zwykłą i poziomą figurą, ni mniej ni więcej, jak Grabiec w Balladynie.

Położenie więc moje nie było do pozazdroszczenia. Czułem się głęboko upokorzonym w mojej miłości własnej, śmiesznym w tej niewłaściwej dla mnie roli Damona, wzdychającego do nieczułej pasterki i niezdolnym, co gorsza, do żadnego heroicznego środka, coby mnie wyprowadził z tej drażliwej sytuacyi.

Tym sposobem upływały dni i tygodnie całe. Jako niewolnik, włożony do słodkiego jarzma, kochałem, wzdychałem i... milczałem.

Śmieszna to była zaiste rola dla takiego, jak ja, dość niezgrabnego amanta, ale miłosna przepaska na oczach nie dozwalała mi widzieć własnej śmieszności! Zaniedbałem gospodarkę, nie sypiałem po nocach, marzyłem na jawie, usiłowałem nawet skleić jakieś wiersze, które mi się Bogiem a prawdą (z czego dziś dumny jestem) zupełnie nie udały. Jako najwyższy symptomat złego przytoczyć mogę, iż nawet widoki na Borowcu i gotówka wypadły mi zupełnie z głowy, a jedna tylko panna Leokadya wypełniła wszystkie moje myśli i marzenia. Kto nie popełniał podobnych głupstw za młodu, niech ciśnie na mnie kamieniem, ja bowiem sądzę, że taka czysta, idealna, bezinteresowna miłość jest niezbędną do przebycia w młodości, mając za zadanie bronić nas w przyszłości, tak, jak szczepiona dziecku ospa, przeciw gwałtowniejszym napadom podobnej choroby.

Tymczasem przez gościnne progi borowieckiego dworu dużo się przesunęło kawalerów, czyhających na powabną jedynaczkę i jeszcze powabniejszy posag. W każdym z nich [1]) atoli nie znalazłem na seryo rywala, dzięki bowiem wybornym galicyjskim szkołom i panującej przytem u nas narodowej nieprzyjaźni do Guttenberga, żaden z młodych paniczów, przyjeżdżających próbować szczęścia, nie mógł wytrzymać tych, jak je nazywali, egzaminów panny Leokadyi. Wynosili się więc niebawem, narzekając po cichu lub głośno na dzisiejszą górnolotną edukacyę panien, która to sprawiła, iż dziś prosta szlachcianeczka nie znajduje już przyjemności w roz-

[1]) Lepiej by było: w żadnym z nich.

mowie o pogodzie, psach, koniach, polowaniu, a nawet o modach i strojach, a chce zaraz jakieś ciężko uczone prowadzić dyskursa.

Ja w skrytości ducha przyznawałem racyę tym dzielnym chłopakom. niemniej przeto cieszyłem się z ich szybkiego odwrotu. Czułem, iż wszystkie podobne próby kochanych Władziów, Stasiów, Kaziów itd., kończące się w dość krótkim czasie, wychodzą ostatecznie na moją korzyść, przypatrywałem się więc i przysłuchiwałem tym wszystkim egzaminom panny Leokadyi z zadowoleniem studenta, który źle zdał egzamin, ale go zdał przynajmniej.

Tak rzeczy stały za nadejściem jesieni, aż wreszcie „romantyczna przygoda, którą los zawsze w pogotowiu chowa dla zakochanych“, sprowadziła pożądany przełom w sercu panny.

Było to mniej więcej w połowie października. Powróciłem do domu późnym wieczorem z Borowca, więcej niż kiedykolwiek rozmarzony, nie wiem bowiem, czy to przypisać wpływowi jesieni, roztaczającej łagodną melancholię tak w naturze jakoteż i w sercu człowieka, czy innym jakim okolicznościom, dość, że znalazłem pannę Leokadyę więcej uczuciowo dla mnie usposobioną. Nastrój jej wprawdzie może był mocno sentymentalny, ale indywidualność ta obracała się dotąd w sferze czystej fantazyi i nie zdawała się szukać dla siebie żadnego przedmiotu, z którego nowe życie czerpać by mogła. Otóż teraz właśnie zauważyłem tę lekką zmianę, że moja ubóstwiana Lodzia zaczyna odczuwać potrzebę bliższych i więcej określonych wrażeń, że pragnienia tych słodkich wzruszeń, które dać może tylko urzeczywistniona miłość, zaniepokoiły w części jej serduszko. Znalazłem ją rozdrażnioną, wrażliwą, nieco tęskną, skłonną do zwierzeń i serdecznej rozmowy. Mówiliśmy dużo o przeczuciach, o przeznaczeniu, sympatyi, przyjaźni, a stąd naturalnem przejściem dotknęliśmy lekko niebezpiecznego przedmiotu: miłości. W rozmowie czułem, że jakkolwiek nie jestem wybranym bohaterem, któryby mógł urzeczywistnić idealne pragnienia mojego bóstwa, mogłem już jednakże oddziaływać na poczynającą wibrować zmysłowo poetyczną strunę serca panny Leokadyi. Zrealizowałem na swój wyłączny benefis tego dnia szczęśliwego niejeden żywy rumieniec Lodzi, niejedno przeciągłe i powłóczyste spojrzenie i niejeden cieplejszy uścisk ręki... Tak więc powróci-

łem do domu upojony tem nieokreślonem nic, którego zrealizować nie można, a które mimoto ma czarowną władzę wypełniać szczęściem serce młodego człowieka. Nie mogłem ani pomyśleć o spoczynku; rozkołysany marzeniami, z piersią pełną pragnień, obaw i nadziei, potrzebowałem pieścić się wrażeniami dnia ubiegłego. Chodziłem więc długo w noc po swoim ogródku, przypatrując się przelatującym chyżo chmurom, które dość silny wiatr po niebie przesuwał. Tak samo przesuwały się moje myśli w szybkim locie, coraz tylko więcej zamglone i niewyraźne, bo senność i zmęczenie zaczęły coraz bardziej ciężyć na moich zmysłach. Chciałem pomyśleć o odwrocie i położyć się w łóżko, gdy w tem jaskrawe światło od strony Borowca zwróciło moją uwagę. Przetarłem oczy, spojrzałem uważniej i przekonałem się, że to ni mniej ni więcej tylko pożar!

Następuje bardzo plastyczny i szczegółowy opis tego pożaru owczarni w Borowcu, pożaru, którego zakochany w pannie Leokadyi bohater powieści omal nie przypłacił życiem. W każdym razie poparzył się i potłukł rzetelnie, ale za to w oczach panny wyrósł na bohatera... Niestety, przypłacił to kilkunastu dniami gorączki, które przeleżał w Borowcu, troskliwie pielęgnowany przez doktora i panią Bąbalińską.

Nareszcie moja rekonwalescencya tyle już postąpiła, iż mogłem opuścić łóżko i spędzać długie czarujące chwile w towarzystwie panny Leokadyi. O, czemuż ta piękna jesień tak szybko i bezpowrotnie minęła! Dla mnie była raz jedyną wiosną życia... Nie będę dotykać szyderstwem tej niewinnej sielanki w głębi Borowieckiego ogrodu pod jasnem, sinem niebem jesieni, wśród zwiędłych astrów i klombów ubranych w złote lub purpurowe liście. Nie chcę potrącać myślą tych pierwszych wyznań, dobywających się mimowoli z wezbranej uczuciem piersi, tych słodkich uniesień wyznanej a podzielonej miłości, tych słów namiętnych, wypełniających, zda się, świat cały. Wolę zarzucić na ten jaśniejący czystem światłem obraz szarą zasłonę gęstych mgieł jesieni... Dość mi wspomnieć... że byłem kochany i czułem się wyłącznym wybrańcem losu, powołanym do najwyższego szczęścia na ziemi: słowem, uprzywilejowanym, szczęśliwym wielbicielem panny Leokadyi. Ubolewałem nad losami tylu milionów ludzi, którzy mogą pędzić nędzną egzystencyę, nie mając nawet wcale

takiego anioła, jakim była moja najsłodsza Lodzia. Nie posiadałem się z dumy na samą myśl, że to ja a nie kto inny napotkałem ją na drodze mojego życia, a co większa, zyskałem jej miłość. Zacząłem dobrodusznie podziwiać sam siebie, jako istotę wyższą, przeznaczoną na niezwykłe życia koleje, którą jasnowidzący geniusz panny Leokadyi przeczuł, odszukał w tłumie pełzającego robactwa i podniósł na przynależny piedestał potęgą własnego uczucia. W upojeniu i w rojonych o przyszłości marzeniach szybko ulatywały chwile, z których każda unosiła lepszą cząstkę mej duszy w odmęt przyszłości.

Tymczasem państwo Bąbalińscy przyjęli mnie z radością na oficyalnego aspiranta do ręki ubóstwianej Lodzi, przyczem korzystając ze zdarzonej sposobności, pan Bąbaliński palnął mi sążnisty traktat o swoich demokratycznych przekonaniach, w których dowodził, że nigdyby nie powierzył losu swej jedynaczki żadnemu członkowi zapleśniałej arystokracyi, będącej jedynie tamą postępu społeczeństwa, lecz iż go chętnie odda w ręce takiego człowieka, jak ja, aczkolwiek nie majętnego, po którym spodziewa się, iż zerwawszy raz na zawsze z konserwatyzmem, stanie się jednym z filarów wojującej idei. Słysząc to wszystko, wypowiedziane w sposób godny i wspaniały, rozczuliłem się niewymownie tą wspaniałomyślnością pana Bąbalińskiego, i dziękowałem w głębi serca niebu, że nie urodziłem się żadnym hrabią lub baronem i że mam ztąd wszelką swobodę do zerwania z przyrodzonym mi nieco konserwatyzmem.

Po niemniej patetycznej scenie z panią Bąbalińską stałem się na seryo uznanym i przyjętym konkurentem, i miłość moja mogła swobodnie galopować sobie po gładkiej drodze do wygodnej i spokojnej przystani małżeństwa. Że byłem najszczęśliwszym na całej kuli ziemskiej człowiekiem, o tem już wspominać nie potrzebuję. Żadnej znikąd chmurki na mojem niebie: kochałem coraz mocniej i głębiej, spokojny o przyszłość, odkrywając coraz nowe zalety i doskonałości w mojem bożyszczu.

W takiej szczęśliwej fazie zastał go r. 1863, powstanie. Dla Asnyka, jako byłego członka Rządu Narodowego, tak odpowiedzialną rolę grającego w tym zbrojnym ruchu, niezmiernie charakterystycznym jest ustęp Panny Leokadyi, w którym Jan Stożek opi-

suje swój udział w powstaniu, a zarazem wypowiada swój krytyczny pogląd na ten bolesny rok w naszych porozbiorowych dziejach.

Smutna, okropna doba — ile razy mi się z pod pióra wysuwa, tyle razy radbym natomiast „klęska“ postawić. Cóż, kiedy nie da się ona tym sposobem z serca i pamięci wymazać! Nadszedł więc ów rok bolesnej pamięci 1863, i z nim ta cała katastrofa, która znowu raz jeszcze tragiczną klęską zakończyć się miała.

Oddawna już wprawdzie dawała się przeczuwać ta wisząca burza w powietrzu i po gorączkowym ustroju całego społeczeństwa z pod zaboru rossyjskiego. Egzaltacya patryotyczna zapalała serca, ogarniając coraz to większe koło, młodzież szalała, starcy tracili głowę, namiętni pchali do czynu, umiarkowani nie śmieli iść naprzód ani też cofnąć się, wsteczni kryli się i walczyli podstępem. Postawiono ideał wielki, święty i wierzono w jego urzeczywistnienie: kto nie wierzył, ten udawał, że wierzy, i milczał. Patryotyzm stał się modą, popisem, koniecznością towarzyską. Nawet salony zaczęły się naginać pod jarzmo tej egzaltacyi *d'une haute nouveauté*. Wszechwładny duch czasu pędził w płomienie i krew upojoną bohaterskiemi marzeniami rzeszę, porywając zarazem za sobą bezwiedną masę panurgowych owiec.

U nas w Galicyi, zdala od płomiennego ogniska, zapatrywano się na rzecz tę stateczniej i rozważniej. Nie mogliśmy z zaufaniem zapatrywać się na ten ruch, wyszły z łona zapaleńców, po którym spodziewać się było można, iż wiele ofiar od nas wymagać będzie. Nie brakło wprawdzie i tu na gorących patryotach, którzy gorącem słowem dawali moralne poparcie wielkiej idei odrodzenia, większość przecież w racyonalnem zamknięta milczeniu, wyczekiwała okoliczności, żeby stosownie do nich bądź to wziąć udział w ruchu, bądź to stanowczo go potępić.

Na czele tych krzykliwych patryotów, co się oświadczyli za powstaniem, stanął niebawem dom Bąbalińskich, co wcale nie zyskiwało aprobaty ze strony spokojniej myślącego Jana Stożka.

Pan Bąbaliński na podstawie demokratyczno-narodowych zasad nie wahał się ani chwili dać swoją aprobatę kipiącej Warszawie i wypowiedzieć śmiertelną wojnę rossyjskiemu imperyum. Pani, jako dobra Polka, rozczulała się bezustannie

nad dolą męczeńskiego narodu i entuzyazmowała się już przed czasem do przyszłych bohaterów. Nadewszystko zaś panna Leokadya, która przywiozła z sobą z Krakowa znaczny zapas defraudowanego patryotyzmu, przejęta duchem poetycznych natchnień Słowackiego, porwana zapałem na widok idealnej strony sposobiącego się do heroicznego wysiłku narodu i uniesiona w nadziemskie sfery poświęcenia, stała na wysokości, niedościgłej oczom zwykłego śmiertelnika.

Co do mnie, muszę w szczerości ducha wyznać, iż nie zastanawiałem się nic a nic nad położeniem, zamknięty egoistycznie w jednem wyłącznie uczuciu. Jedynie propaganda panny Leokadyi zdolna mnie była utrzymać na pewnej podniosłości patryotycznego nastroju i przejąć mnie niezłomną wiarą w własne bohaterstwo, od którego jednakże spodziewałem się ochronić.

Jednakże po wybuchu powstania, gdy to po paru tygodniach istnienia zostało nareszcie zaadoptowane i wzięte w opiekę przez całe stronnictwo poważnie myślących, gdy biali — jak ich nazywał z niechęcią tryumfujący teraz pan Bąbaliński — zaczęli przyjmować na siebie ciężar politycznego przewodnictwa, składając doświadczony rozum stanu i dyplomatyczne zdolności na ołtarzu ojczyzny, gdy jeszcze obok tego Galicya zaczęła dostarczać powstaniu swoich Zuzüglerów, uczułem, iż zbliża się i dla mnie chwila stanowcza.

W Borowieckim dworze coraz to gwarniejsze odbywały się zebrania i coraz żywsze toczyły się dyskusye. Zapał wzrastał i potęgował się z każdą chwilą, coraz to nowe dawały się słyszeć okrzyki: „Wspomagać powstanie aż do upadłego! Francuzi lada chwila nadejdą! Pójdziemy wszyscy do oddziałów!...“ A panna Leokadya patrzała na mnie niewysłowionym wzrokiem z którego wyraźnie czytałem myśli: „Ty jeszcze tutaj?“

Nie było co robić: trzeba się było zdecydować. Szczęściem u mnie decyzya długiego czasu nie potrzebuje. Ideał mój potrzebował widzieć we mnie bohatera, *ergo* ja musiałem iść szukać laurów. Było to rozumowanie prostej a nieubłaganej logiki. Jednego więc pięknego wieczoru po długiej i szczerej rozmowie z Lodzią o obowiązkach Polaka, o wielkich czynach i nieśmiertelnej sławie wojujących za wolność kraju itd., oświadczyłem od niechcenia, że za trzy dni wy-

jeżdżam do oddziału. Jakkolwiek moja Lodzia chciała się już oddawna dosłyszeć tego z ust moich, uważając ten krok za stanowczy probierz mojego ducha, przecież tak nagła wiadomość wywołała w niej głębsze i rzewniejsze wzruszenie. „Tak prędko? Czyż to być może?“ — wyszeptała tym dziwnie miękkim i pełnym słodyczy tonem, w którym się mieściło trochę smutku i obawy, trochę radości i niewieściej dumy. Niebieskie a lekko zwilżone oczy spojrzały na mnie tak czarująco, że czułem się gotów w tej chwili rzucać na gołe bagnety dla tego jedynego spojrzenia i towarzyszącego mu uśmiechu, pełnego anielskiej tęsknoty. Przykląkłem i pocałowałem podaną mi rączkę, od której, niestety, miałem się na długo, może na zawsze oderwać!

Pan Bąbaliński, gdy się dowiedział o mojem postanowieniu, porwał mnie w swoje objęcia, przycisnął czule do serca i wyrzekł uroczystym głosem: „To chwat chłopak, zawsze to mówiłem; on się nie cofnie przed niczem i poniesie śmiało sztandar narodowo-demokratycznej idei, pokąd go nie zatknie na gruzach barbarzyństwa!“ Pani spojrzała na mnie z wyrazem uwielbienia i dumy matki-Spartanki, poświęcającej syna, nic nie mówiła, ale jej milczenie i postawa wymowniejszemi były nad wszystkie słowa.

Zaciągając się do powstania, narzeczony panny Leokadyi jeszcze raz pojechał do Borowca, by się pożegnać z ukochaną i jej rodzicami.

Ubrałem się, jak przystało na przyszłego obrońcę ojczyzny, przypasałem szablicę, nastrzępiłem wąsy, przywdziałem minę jaknajbardziej wojenną, i tak w całej pełni marsowych wdzięków stawiłem się przed panią mojego serca. Już to kto mnie widział wówczas, musi przyznać, że wcale dziarsko wyglądałem; to też gdy mnie tak zobaczyła Lodzia z rycerskim animuszem i doskonałą fantazyą wjeżdżającego na dziedziniec, wybiegła rozpromieniona na moje spotkanie i rzuciła mi się z czułością na szyję.

Podobne wyjątkowe a stanowcze chwile mają niezmierny przywilej łamania wszelkich lodów. Obojętne nawet serca drgają wtedy nieznanem przedtem uczuciem, a cóż dopiero mówić o sercach kochanków! Lepsza, szlachetniejsza strona ludzkiej natury bierze wówczas górę nad przyrodzonemi jej słabostkami i śmiesznościami, potęga sytuacyi podnosi i uszla-

chętnie walkę sprzecznych uczuć, a prawdziwy zapał rzuca nawet blask na smutne Donkiszotów postacie.

Nigdy też nie wyjdzie mi z pamięci ten pożegnalny wieczór w Borowcu. Zamieniliśmy pierścionki z Lodzią, otrzymaliśmy błogosławieństwo rodziców, uprzedzając tym sposobem chwilę rozłączenia uroczystemi zaręczynami. Nigdy też moja Lodzia nie okazała mi tyle miłości, tyle prawdziwie niewieściej tkliwości! Zapomniała na chwilę o wszystkich swoich marzeniach wielkości i poświęceń, i tuliła się do mnie drżąca z całym niepokojem i trwogą kochającej kobiety. Blada, poważna i milcząca, rozmawiała ze mną raczej uściskiem ręki, łzawem spojrzeniem i przytłumionem westchnieniem, niżeli słowami. Lecz możeż być wymowniejsza rozmowa od łez i westchnień?... Pani Bąbalińska od czasu do czasu ocierała oczy chustką; pan Bąbaliński chrząkał, chodząc po pokoju i mruczał: „Tfu! Głupstwo! Coście tak posowieli wszyscy? Niema się czego martwić, wszystko pójdzie dobrze; nasza idea musi zwyciężyć!“ Zapatrzyłem się mimowolnie na czarną sukienkę Lodzi, nasuwającą mi różne czarne myśli, i okrywałem namiętnymi pocałunkami drobniutką jej rączkę, znajdując w tem słodkiem zajęciu jedyne skuteczne lekarstwo przeciw ogarniającemu mnie wzruszeniu.

Tak upływały powoli lecz nieubłaganie te uroczyste chwile, odmierzane coraz to bardziej przyspieszonem biciem serca; nadszedł ostateczny czas pożegnania i całe życie moje skupiło się na ustach Lodzi. Ta upadając w objęcia moje, szepnęła tylko, „Gdybyś zginął, ja ciebie nie przeżyję!“ I łzy długo wstrzymywane puściły się nareszcie wolnym biegiem. Upiłem się temi łzami. Na szczęście w tej chwili wzniósł pan Bąbaliński ogromny kielich starego węgrzyna, żeby dawnym obyczajem wypić strzemiennego; tak więc zapiłem łzy winem i tym sposobem przyszedłem do pewnej moralnej równowagi. Tysiące pożegnalnych wykrzykników, życzeń, błogosławieństw, spadły na mnie, jak burza; wyrwałem się nareszcie z potężnych objęć pana Bąbalińskiego, i żegnany jeszcze ostatniem d o w i d z e n i a z najdroższych ust Lodzi, popędziłem, jak wicher, uciekając przed własnego serca słabością.

Niezmiernie ciekawy jest ustęp, w którym Asnyk opisuje udział Jana Stożka w powstaniu, jego sądy o Langiewiczu i Chmie-

lińskim, jego krytyczne zapatrywania na charakter wielu potyczek powstańców z nieprzyjacielem, na całe powstanie wogóle. Cały ten ustęp jest zaprawny taką goryczą, że wydziwić się nie można, iż to pisał niedawny członek Rządu Narodowego, i to w niecałych pięć lat po powstaniu, a przeszło na rok przed ukazaniem się... Teki Stańczyka! Trzeba było niemałej odwagi cywilnej, by wtedy w tak cierpki, sceptyczny, trzeźwy i wszelkiej grottgerowskiej idealizacyi pozbawiony sposób pisać o walkach powstańczych, wtedy, gdy jeszcze całe społeczeństwo było w świeżej żałobie po utraconych złudzeniach...

Otóż dostałem się szczęśliwie do obozu Langiewicza i odbyłem jako prosty żołnierz całą dyktatoryalną kampanię. Po zwycięstwie naszem pod Grochowiskami, a zarazem po dyplomatycznej ucieczce dyktatora, przez dziwną sprzeczność natury ludzkiej, ja, który nie czułem w sobie pierwiastkowo wielkiego powołania do męczeńsko-bohaterskich rozpraw, postanowiłem sobie na złość dyktatorowi nie wstępować w jego ślady. Zdawało mi się, że raz zdecydowawszy się na krok tak stanowczy, nie godziło się bez żadnego rezultatu uchodzić z pola walki. I uważałem moje postanowienie za święte zobowiązanie się tak względem kraju, jak i względem mojej ubóstwianej Lodzi. Postanowiłem więc bądź co bądź dalej pozostać. Podzielałem smutne losy kilku nowych oddziałów, które także w krótkim czasie zostały rozbite. Nareszcie los mi do tyla posłużył, że dostałem się do oddziału Chmielińskiego, który miał przynajmniej niejakie podobieństwo do regularnego wojska i gdzie można było spotkać się i rozprawiać z Moskalami. Dotychczasowy bowiem systemat cofania się, praktykowany przez poprzednich moich dowódców, wcale mi nie przypadł do smaku. Na prosty bowiem rozum szlachecki wyrachowałem, iż większe jest bezpieczeństwo tam, gdzie się porządnie biją, niż tam, gdzie bez ładu uciekają, i że milej jest zginąć w bitwie, jak żołnierz, aniżeli być zostawionym na pastwę kozaków. Dlatego też cały czas partyzantki pod Chmielińskim, mimo wszystkich niewygód, niebezpieczeństw, próżnych wysiłków i smutnych widoków na przyszłość, uważałem przecież za rodzaj wypoczynku po dawniejszych demoralizujących przejściach. Nie spodziewałem się wprawdzie wyjść cało z tych różnych tarapatów, ale los jakoś opiekował się mną w sposób nadzwyczajny. Wychodzi-

łem cało z każdej przeprawy, ani razu nie zostałem ranny, a jakkolwiek nie odznaczyłem się niczem i wciąż pozostawałem w stopniu prostego żołnierza, przecież powiedzieć mogę, że sumiennie spełniłem moją powinność. Wprawdzie coraz to więcej traciłem nadziei co do pomyślnego rezultatu naszych wysileń, i ten brak wszelkiej nadziei był dla mnie najnieznośniejszym ze wszystkiego. Chęć powrócenia do mojej najdroższej paliła mnie nieustannie, ale jako żołnierz chciałem dotrwać na raz zajętem stanowisku. Smutno mi było pomyśleć, że powrócę bez tej sławy, na którą ona tyle liczyła, bez zwycięskiego lauru i bez wszelkiej pomyślnej wieści o przebiegu świętej naszej sprawy. Smutno mi było wracać z pola ruin i płomieni, zaprzepaszczonych ofiar i bezowocnych męczeństw, unosząc z sobą piekącą myśl: „wszystko stracone!“ Bo w trudach wojennych, w ogniu i niebezpieczeństwie, zrosłem się całą duszą z tą ojczyzną pełną łez i krwi, a każda klęska, każdy upadek coraz to nowem przykuwały mnie do niej ogniwem miłości! Jednakże po niefortunnej potyczce, która się zakończyła zabraniem w niewolę naszego dowódcy, uczułem tyle zwątpienia i tyle rozpaczy w sercu, że nie mogłem już pozostać dłużej w obozie. Dla mnie z tą chwilą wszystko się już skończyło: potrzebowałem wyrwać się czemprędzej z pod nacisku tylu okropnych wrażeń.

Smutny to był zaiste powrót do domowej zagrody. Przykre rozczarowanie, ciężki żal do Boga i ludzi, jakiś wstyd przed samym sobą towarzyszyły mi w tej ostatniej niebezpiecznej wędrówce. A przecież wracałem na łono tych, którzy mnie kochali, do własnej siedziby, do normalnych życia warunków, a nadewszystko do kochanej i kochającej kobiety, w której miłości spodziewałem się znaleźć zapomnienie, spoczynek i niezachwiane szczęście w przyszłości. Wobec przykrych uczuć, które mną miotały, mogłem sobie dopiero jasno wyobrazić los tych, którzy po tak strasznem moralnem rozbiciu nie mają zakątka, gdzieby mogli powrócić, ani też serc kochających, przy którychby odżyć mogli. Ja bowiem, który miałem wszystkie podstawy nowego życia i dla którego ta niefortunna wyprawa winna pozostać tylko małoznaczącym epizodem, czułem się przecież nad miarę zgnębionym, jakbym większe pół życia zostawił w tej fantasmagoryi krwawych świateł, w którą wplątany zostałem.

Ostatni ustęp jest niewątpliwie odbiciem tych osobistych uczuć Asnyka, które nim miotały po upadku powstania, gdy, uchodząc przed karą śmierci, „rozbity na duchu, zrozpaczony i chory“ znalazł się poza granicami kraju.

Tymczasem Jan Stożek, przybywszy do Borowca, spotkał się z niemiłą niespodzianką, dowiedział się bowiem, iż państwo Bąbalińscy zimę spędzają w Krakowie. Podążywszy tam, znów doznał niemiłego zawodu: panna Leokadya była jakaś zmieniona, a rodzice nie taili się z różnemi pretensyami do niego. „Czyż to się godziło — mówił pan Bąbaliński — nie mieć tyle zastanowienia i prawdziwych zasad, aby pójść w usługi anarchii, wstrząsającej krajem i rujnującej prawdziwy postęp demokratycznej idei, a co gorsze, bić się pod dowództwem człowieka, dopuszczającego się nadużyć na obywatelach i uznanego za szkodliwego przez naszych wielkich mężów stanu.“ Niedość tego; w Krakowie, w otoczeniu t. z. dobrego towarzystwa, w którem nie brakło i arystokracyi, o ile rozbawiona panna Leokadya i jej rodzice czuli się doskonale, o tyle młody właściciel Wulki, niby zaręczony z posażną jedynaczką, wcale się nie czuł w swoim żywiole. A niebawem sytuacya całkiem się obracała na jego niekorzyść. „Figura prostego hreczkosieja, niekorzystnie nacechowanego długim pobytem w obozie, źle odbijała na tle wyższego etykietalnego życia.“

> W oczach ludzi dobrego towarzystwa byłem niesmacznym prostakiem, człowiekiem niebezpiecznym, anarchistą, socyalistą, komunistą, jednem słowem wyrzutkiem społeczeństwa. Musiałem znosić tysiące przycinków i przekąsów, pogardliwych spojrzeń i grzecznych impertynencyi... Pan Bąbaliński, który z upadkiem powstania coraz mniej mówił o swych demokratycznych zasadach i przytakiwał nawet czasami hrabiom i baronom, zaczął mnie uważać coraz to więcej za szaleńca, odpowiedzialnego za wszystkie grzechy powstania, za człowieka, na którego sumieniu ciąży ruina kraju. Jakkolwiek dziwną się może wydawać taka metamorfoza w przekonaniach prawego patryoty, przecież ubiegłe lata pokazały nam ich tyle, iż śmiało rzec można, że pan Bąbaliński był prawidłem a nie wyjątkiem.

W tak niemiłych warunkach odważył się Stożek na krok stanowczy, ale, niestety, fałszywy: prosił o naznaczenie dnia ślubu. „Pan Bąbaliński skamieniał z podziwu, panna Leokadya zmierzyła

wzrokiem *d'une reine outragée*, a pani, podnosząc ręce w górę, wykrzyknęła: „O egoisto! miałżebyś śmiałość na świeżych ruinach budować własne szczęście! Wobec ogólnej boleści narodu, wobec powszechnej żałoby powinienbyś wstydzić się twoich żądań!“

Ale ta powszechna żałoba nie przeszkadzała bynajmniem państwu Bąbalińskim w połowie czerwca wybrać się do Baden-Baden, niby dla poratowania zdrowia pani. Wybrał się z nimi i narzeczony panny (na co się musiał zapożyczyć). Wrażenia, jakich tam doznał w atmosferze pokrewnej dzisiejszemu Monte Carlo, na tle pięknej natury, zbytku i gry, są tem ciekawsze, że w nich odbiły się osobiste wrażenia Asnyka, gdy po upadku powstania bawił w Niemczech, naprzód w Dreznie, a potem dla kuracyi w Baden-Baden.

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Starostwo Muszyńskie

Własność biskupstwa krakowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Z biegiem lat — z chwilą rozwoju osad — w miarę, gdy i nieużytki obracano pod glebę uprawną — zmienia się i charakter zatrudnienia ludności. Z pasterskiej staje się rolniczą. To też w połowie XVII. w. mamy tu do czynienia już z ludnością wyłącznie rolniczą — chów bydła — zwłaszcza owiec stanowi już poboczne, chociaż zawsze jeszcze pokaźne źródło dochodu. Wymownym dowodem tej zmiany w zatrudnieniu ludności tutejszej są ordynacye i rezolucye biskupie, wydane w II-giej połowie XVII. w. Znoszą one częściowo ten podatek — w odniesieniu do pobaraúszczyzny — serowe pozostaje i nadal, lecz już w pierwszych dziesiątkach lat XVIII. w. ustaje zupełnie, a pozostaje tylko niewielka danina od owiec zimowych (od każdej płacono po 7 groszy).

Z chwilą, kiedy rolnictwo czyni tu coraz większe postępy — zmienia się i krajobraz. Odwieczne lasy bukowe, dębowe, jaworowe i t. d. ustępują miejsca glebie uprawnej. W XVI. w. kwitł tu przemysł szklany. Istniały 4 huty w Powroźniku, Słotwinach, Muszynce i Stawiszy. Jedna huta dostarczała rocznie 1000 szyb do dworu muszyńskiego. [1]) W XVII. w. już w pierwszych kilkunastu latach zauważamy zanik tej gałęzi przemysłu. Przyczyną tego było zbytnie wytrzebienie lasów spowodowane spalaniem drzewa w wielkiej ilości celem otrzymania popiołu drzewnego, potrzebnego do wyrobu szkła. Wspomniane huty były własnością dziedziczną sołtysów wymienionych wsi. W XVII. w. produkcya w przemyśle szklanym ogranicza się tylko do własnych potrzeb miejscowej ludności. Prze-

[1]) Inv. Ep. Crac. de. 1668.

mysł browarniczy i gorzelniany — tudzież młynarstwo spotykamy prawie w każdej wsi — z wyjątkiem tych, które były położone w bliskości Muszyny. Chodziło o to mianowicie zwłaszcza co do młynów, by nie czyniły konkurencyi młynowi dworskiemu.

Wracając do uprawy rolnej i produkcyi zboża zauważamy, że plon z jednostki gospodarczej zależnie od położenia wsi jest różny. Rezultaty, ztąd otrzymane, oparte są na statystyce produkcyi rolnej w 19 tylko wsiach. Szkoda że inwentarz nie podaje statystyki w całym kluczu. Mimo to jednak, opierając się na datach statystycznych podanych — co do reszty zaś wnioskując z położenia wsi i rodzaju gleby, możemy odtworzyć sobie obraz całości i wypośrodkować średnio-proporcyonalną wartość zbioru z jednostki gospodarczej. Wyniki ostateczne dotyczyć będą ogółu produkcyi zbożowej. Inwentarz bowiem, nie uwzględniając gatunków i rodzajów zbóż — podaje tylko wartości ogólne. Przechodząc kolejno wartość produkcyi w stosunku do ilości gleby i ludności, dochodzimy do rezultatów następujących: (Ob. tab. na str. 213).

Tabela powyższa [1]) wykazuje niezwykłą różnorodność pod względem produkcyi zbożowej w stosunku do wspólnej jednostki gospodarczej, za którą obraliśmy obszar jednego łana. Tem samem otrzymujemy miarę na wydatność gleby. Opierając się ściśle na stosunku produkcyi do ilości gleby, konstatujemy, że największą wydatność gleby posiadają wsie: Szczawnik, Wójkowa, Leluchów, Piorunki, Złockie, Milik, Muszynka i Izby. Srednia produkcya z łanu wynosi w tych wsiach około 86 kóp. Najmniejszą wydatność gleby posiadają wsie: Banica, Byliczna, Wierchomla-Wielka, Jastrzębik i Czertyżne. Średnia produkcya wynosiła tylko 24 kóp — więc mniej niż $^1/_3$ zbioru z łanu pierwszej klasy. Glebę o średniej wydatności posiadają wsie Żegiestów, Zubrzyk, Krynica, Dubne, Andrzejówka i Czarna. Średnia wartość produkcyi z łanu wynosiła około 50 kóp zboża. Średnia proporcyonalna wartość produkcyi w całym kluczu wynosi z jednego łanu 53 kóp zboża. Licząc według ludności, przypadałoby na jedno gospodarstwo kmiecie 25 kóp zboża. Jakkolwiek daty statystyczne co do produkcyi zbożowej dotyczą tylko 19 wsi, jak to wykazuje tabela obok — to przecież pomiary i obliczenia w średniej wartości można bez obawy o niedokładność odnieść do całego klucza, gdyż reszta wsi pod względem rodzaju gleby zajmuje stanowisko w jednej z wspomnianych trzech klasyfikacyj wydatności gleby uprawnej. — Obliczenia

[1]) Inv. Ep. Crac. 1668.

Nazwa wsi	Ilość kmieci	Ilość łanów kmiecych	Zbiór na jednego kmiecia w kopach	Średnia wartość produkcyi na 1 łan w kopach
Andrzejówka . . .	19	8	20	50
Banica	22	15	15	22
Byliczna	7	8	30	26
Czarna	24	15	30	48·4
Czertyżne	8	7	30	34·2
Dubne	10	8	40	50
Izby	36	20	40	72·7
Jastrzębik	26	12	16	35
Krynica	59	25	20	47·6
Leluchów	17	7 1/4	40	95
Muszynka	29	13	40	88
Milik	40	11	20	73
Piorunki	21	13	50	80
Szczawnik	29	8	30	108
Wójkowa	22	9	40	100
Wierchomla Wielka	13	14	15	14
Złockie	32	13	30	74
Zubrzyk	14	7	24	48
Żegiestów	24	13	36	66

powyższe odnoszą się tylko do wsi. Nie uwzględniano natomiast wcale stosunku, jaki zachodzi pomiędzy wartością produkcyjną, a ilością gleby w obu miasteczkach: Muszynie i Tyliczu. Czynię to dlatego, raz, że nie posiadam odnośnych — więcej dokładnych dat statystycznych — powtóre, że zwłaszcza w Muszynie stosunek ten odbiega dosyć znacznie od wartości produkcyjnej na wsi. Zachodząca pod tym względem rożnica sprowadziłaby pewien niejako dysonans w obrazie ekonomicznych stosunków na wsi, które tu z braku zasadniczych różnic łatwo można upodobnić i sprowadzić do jednego wspólnego typu.

Wracając jeszcze do produkcyi zbożowej na wsi, warto uwzględnić stosunek tejże produkcyi do ilości roli, jaka wchodziła w skład pojedynczego gospodarstwa kmiecego. Ważną jest tu okoliczność, że obszar jednostki gospodarczej przedstawiał się w ciągu lat bardzo zmiennie, zależnie od wzrostu zaludnienia w danej wiosce. Gdzie rozwój ludności był silny, tam proces rozdrobnienia własności ziemskiej był większy i coraz szczuplejszą stawała się jednostka gospodarcza. — Podkreślam ten stosunek dlatego, że poprzednio wyraziłem go w formie więcej ogólnej (biorąc za jednostkę łan), by nie utrudniać oryentacyi. Dla stosunków lokalnych ma iednak wartość jednostka taka, jaka tam obowiązywała. W kluczu muszyńskim spotykamy pod względem wielkości dwojaki typ gospodarstw, mianowicie gospodarstwo większe, obejmujące średnio od $^1/_2$—1 łana ziemi, i gospodarstwa mniejsze od 0·3—0·6 łana. W uwzględnieniu stosunku produkcyi do obowiązującej w kluczu muszyńskim średniej jednostki gospodarczej przy maximum i minimum posiadania, otrzymamy co do porządku odmienne nieco niż poprzednio rezultaty.

Najwięcej urodzajną glebę posiadały wsie: Szczawnik, Milik, Wójkowa, Leluchów, Muszynka i Złockie. — Najmniej urodzajną zaś Wierchomla księża, Byliczna, Banica, Czertyżne i Jaśtrzębik. Stosunek wielkich gospodarstw do małych przedstawia się jak 2·3 : 1, tymczasem pod względem produkcyi, zachowując tę samą proporcyę, ma się jak 1 : 3·4. Zachodzi więc tu stosunek prawie odwrotnie proporcyonalny między ilością obszaru, a wydatnością gleby. Obliczenia powyższe dotyczą w równej mierze gospodarstw kmiecych jak i sołtyskich. Co do chałupników, zagrodników i komorników, brak nam wiadomości. Pawiński w Źródłach dziejowych, t. XIV., podaje, że w powiecie sandeckim było zagrodników z rolą 223, bez roli 299, komorników 210, chałupników 15. To pewna, że jakkolwiek nielicznie, istnieli jednak w kluczu muszyńskim.

O tej kategoryi ludności będę miał sposobność jeszcze pomówić na innem miejscu. Obecnie wypada nam zająć się zebraniem pewnych wspólnych charakterystycznych cech, któreby złożyły się na utworzenie średniego typu wsi w kluczu muszyńskim.

Sredni typ wioski.

Wieś — jak to już poprzednio zaznaczyłem — była osadzoną nad potokiem. Granice wsi były naturalne, oznaczone przez rzeczkę, potok, górę, łąki lub polany, albo sztuczne — utworzone przez kopce sypane lub kamienne. Podstawę prawną stanowi tu dokument lokacyjny. Nie spotykamy też nigdzie we wsiach wewnętrznych, by jedna wieś przywłaszczała sobie pola lub łąki, leżące na terytorium drugiej. Nieliczne wypadki zachodzą tylko na pograniczu klucza. Nie mają one jednak wybitniejszego znaczenia, t. zn. nie jest to aktem, przedsiębranym przez cała gromadę, lecz tylko przez poszczególne jednostki; ztąd ingerencya starosty w sprawie regułowania granic, rzadko tu miała miejsce. Natomiast zdarzały się często wypadki przywłaszczenia sobie gruntów kmiecych lub gromadzkich przez sołtysa.

Przeciętny typ wsi jest podłużny — zabudowania gospodarskie leżą po jednej i drugiej stronie potoku: środkiem obok potoku przez całą wieś wzdłuż prowadzi droga, służąca tak do potrzeb lokalnych, jak również jako środek komunikacyjny, łączący wieś z innemi osadami. Zabudowania gospodarskie nie są zbyt obszerne — podobnie i narzędzia gospodarskie nie odznaczają się wyższą techniką w wykonaniu. Wykonane prymitywnie w miejscu i zastosowane do potrzeb szczupłego gospodarstwa w wiosce wybitnie górskiej. Chaty wiejskie dymne — kryte słomą lub gontami. Że gonty mogły być w użyciu u ludności tutejszej, przemawiałaby za tem ta okoliczność, że lasów było tu podostatkiem; powtóre, prawie każdy kmieć trudnił się wyrobem gontów i oprócz oznaczonej dostawy dla dworu muszyńskiego, wyrabiał jeszcze pewną ilość na eksport. Pośrednictwem sprzedaży trudnił się dwór, płacąc od kopy po 15 groszy. Rezolucya z 1689 r. wyraźnie stwierdza, że kmiecie używają na wyrób gontów drzewa z lasów pańskich, ztąd płacono im od kopy o 3 grosze mniej, niż we wsiach okolicznych królewskich (tam płacono od kopy po 18 groszy).

Wieś nie była gęsto zaludnioną. Średni jej typ wykazuje około 143 głów. Wliczaną jest w tę cyfrę ludność wszystkich kategoryj.

Organizacya społeczno-gospodarska dzięki procesowi rozdrabniania się własności wykazuje pewną jednostajność. W wiosce rozróżniamy zazwyczaj gospodarstwa sołtysie, kmiece i zagrodnicze. Średnia jednostka gospodarstwa kmiecego wynosiła pół łanu, sołtysia 0·7 łanu. Co do zagrodników, nie posiadamy w tej mierze pewnych wiadomości. To pewna, że istnieją w kluczu muszyńskim. Dokument lokacyjny wyraźnie pozwala sołtysowi osadzić 2, 3 lub więcej zagrodników na nawsiu. O istnieniu ich w XVII. wieku świadczyłby też summaryusz czynszów i danin. Wiedząc bowiem, że powinności kmiece i sołtysie zostały dokładnie określone, wydałyby się nam niektóre pozycye prowentów niezrozumiałe, gdybyśmy nie przyjęli, że rzekoma ta nadwyżka pochodzi od zagrodników. Mając podaną liczbę zagrodników, moglibyśmy obliczyć ich ciężary. W braku zaś danych nie tylko nie podobna określić ich ciężarów, ale i oznaczyć wartości ich jednostki gospodarczej. Pod względem rozmieszczenia gospodarstw zachodzi pewna różnica. Niewątpliwie w najkorzystniejszem położeniu pozostawały gospodarstwa sołtysie, skoro lokacya odbywała się pod kierunkiem sołtysa, który mógł dowolnie przydzielić sobie najlepszą część gruntów. Z biegiem czasu zatarła się prawie różnica między sołtysem a kmieciem w kwestyi ilości posiadania. Gospodarstwo więc rolne sołtyskie było bardzo zbliżone pod wielu względami (ilość ziemi i produkcya) do gospodarstwa kmiecego. Jedyną znaczną różnicę stanowiła ilość posiadanych owiec i prawo użytku z młyna, karczmy, piły trackiej i t. p., tudzież uprzywilejowane stanowisko w stosunku do odbywanych robocizn na rzecz dworu.

W najgorszem położeniu zostawali zagrodnicy i komornicy. Co do zagrodników, to dokument lokacyjny określa ich siedzibę na nawsiu (była to część wsi, gdzie gleba nie była zbyt urodzajną). Gospodarstwa zagrodnicze nie były zbyt wielkie, skoro nie spotykamy tu żadnych specyalnych powinności, a nieznacznie ciężary, jakie ponosili, dotyczyły głównie czynszu z roli i robocizny. Zachodziła więc wybitna różnica między kmieciem, a zagrodnikiem i w ilości posiadanego gruntu, jego położeniu i w jakości ciężarów. Zagrodnik, nie płacąc dużo czynszu, spełniał jednak większą ilość robót na rzecz sołtysa. Zdarzało się niekiedy, że przywilej lokacyjny pozwalał osadzać sołtysowi zagrodników na swoich łanach (ilość ich zależna była od posiadanych prawem lokacyjnem

łanów). Czyżby mieli oni stanowić coś w rodzaju czeladzi sołtysiej? Jest to tylko przypuszczenie, bliższej wzmianki bowiem nie mamy.

Kmieć był właścicielem gruntu dziedzicznym. Rugowanie kmieci z ich ojcowizm nie miało tu miejsca. Pewne zastrzeżenia istniały tylko co do gospodarstw sołtyskich; o ile sołtys nie wypełniał należycie swych powinności, mógł go dwór wyrugować z zajmowanej posiadłości i oddać ją komu innemu. Chałupników nie spotykamy we wsi tutejszej wcale. Komorników istniały 2 rodzaje: z bydłem i bez. Co do pierwszych, to według inwentarza z 1668 r., było ich dziesięciu. Liczba drugiej ich kategoryi nie jest podana.

Średnia jednostka gospodarcza kmieca wynosiła pół łanu. Chłop prowadził gospodarstwo przeważnie dwupolowe, t. zn., że jedną część obrabiał pod zasiew, a druga leżała odłogiem i naprzemian. System trójpolowej gospodarki rolnej uwidacznia się tu słabo. Tłumaczy się to tem, że jałowa dosyć gleba nie pozwalała na różnorodność w płodozmianie. Głównym produktem rolnym był tu owies — w nieznacznej tylko mierze żyto, jęczmień i groch. Te produkty w stosunku do owsa przedstawiały się jak 1 : 1·4 na korzyść owsa. Stosunek produkcyi do siewu wynosił u żyta 4 : 1, jęczmienia 2·6 : 1, owsa 1·2 : 1, grochu 1·4 : 1. Uprawiano nadto len i konopie jako produkty niezbędne do wyrobu płótna.

Produkcya zbożowa z jednostki gospodarczej (bierzemy tu pół łanu) wynosiła 30 kóp zboża razem. Znając wartość siewu i stosunek siły produkcyjnej różnych zbóż przy zbiorze, możemy łatwo obliczyć wartości pojedyncze co do ilości uprawianego żyta i owsa. Na podstawie tych obliczeń stwierdzamy, że obszar zajęty pod uprawę żyta wynosił $^{1}/_{9}$, a pod uprawę owsa $^{8}/_{9}$. Co do zbioru, to stosunek przedstawiał się inaczej. Średnio otrzymywał kmieć 10 kóp żyta i 20 kóp owsa. Żyto wymaga już urodzajniejszej ziemi i lepszej uprawy, ztąd na mniejszym obszarze wynik jest stosunkowo lepszy, niż owsa, pod którego uprawę przeznacza się i dziś jeszcze obszary gorsze. Jęczmień przypuszczalnie zajmował połowę produkcyi żyta. Obliczenia, jakie tu przeprowadziłem, dotyczą idealnego, średniego typu wioski i nie mogą wcale obowiązywać wszystkich wsi, skoro, jak to już zaznaczyłem poprzednio, rodzaj gleby był różny, przechodząc od ziemi urodzajnej prawie do pustek.

Specyalnych obliczeń co do gospodarstw sołtyskich z braku źródeł nie przeprowadziłem. Wiemy tylko tyle, że dokument lokacyjny zapewniał sołtysowi oprócz większej jednostki gospodarczej

wolne posiadanie karczmy, browaru, młyna, folusza (czyli stęp sukienniczych) i traczu, nadto robocizny od kmieci (2—3 dni średnio w roku). Sołtystwo było zawsze dziedziczną własnością. W razie wymarcia potomków w linii męskiej, prawa wszelkie wracały do biskupa, jako właściwego pana. Spotykamy też i sołtystwa dożywotnie, nadawane w nagrodę zasług, albo wydzierżawiane za rocznym czynszem. Jaka była wysokość czynszu dzierżawnego, trudno oznaczyć. Trafiają się też dzierżawy dziedziczne za pewną umówioną z góry kwotą. W ten sposób przyszła do skutku dzierżawa dziedziczna sołtystwa mochnackiego za cenę 1200 złp.

Wieś cała, nie wyłączając zagrodników, miała prawo użytkowania niektórych rzeczy, będących własnością dworu. Przedewszystkiem była więc wolność użytkowania lasów, w zbieraniu suchego drzewa na opał, w otrzymywaniu w razie pogorzeli i innej potrzeby drzewa budulcowego, drzewa na wyrób gontów, palenie popiołów drzewnych, w zbieraniu żołędzi czy bukwi, w wybieraniu barci i t. d. Istniała też wolność użytkowania pastwisk, polan i niektórych łąk dla wypasania kóz i owiec, wolność rybołóstwa i polowania. Te ostatnie były w części ograniczone, raz dlatego, że osobliwsze okazy zwierzyny i ryb miano oddawać do stołu biskupiego, powtóre, że płacono i z polowania i rybołowstwa pewien choć nieznaczny czynsz.

Przemysłu w ścisłem tego słowa znaczeniu nie było. Istniał jedynie przemysł domowy, który, choć słabo rozwinięty, jednak wystarczał na zaspokojenie własnych potrzeb. Przedmiotem tego domorosłego przemysłu było płótno i sukno. Na eksport produkowano tylko popiół drzewny, smołę, belki, gonty i drzewo opałowe. Zysk z tego ciągnął dwór muszyński, względnie klucz radłowski. Kmieć dawał w to swą pracę, za co otrzymywał pewne wynagrodzenie. Eksport odbywał się drogą wodną, Popradem do Nowego Sącza i dalej.

Najpoważniejsi kmiecie we wsi wraz z sołtysem tworzyli tak pospolicie zwaną gromadę — reprezentując wieś na zewnątrz i stanowiąc węzeł łączności wsi z dworem. O ile pojedyńczy poddany był jednostką prawie nic nie znaczącą, o tyle gromada znajdowała zawsze posłuch u biskupa lub jego komisarzy, gdy przedstawiała swe żale na uciemiężenie ze strony starosty muszyńskiego, czy jego urzędników. Biskupi krakowscy, wydając ordynacye ogólnej treści, przeznaczone dla całego klucza, wydawali je zawsze jako dwa akta o treści do siebie zbliżonej, z których jeden dotyczył obu miast,

Muszyny i Tylicza, drugi wsi (w tym ostatnim nagłówek opiewa: „Do gromad ze wsiów i całego kresu Muszyńskiego").

Sądownictwo.

We wsi istniał tylko jeden rodzaj sądownictwa, które sprawował sam sołtys. Były to sądy sołtysie. Rozstrzygały się w nich sprawy drobniejsze cywilne i karne w pierwszej instancyi. Kary były cielesne i pieniężne. W tym drugim przypadku $1/_3$ z win osądzonych szła na korzyść sołtysa, a $2/_3$ oddawano do dworu muszyńskiego. W sprawach ciężkich, gdzie szło o zabójstwo, grabież, pożogę, herezyę, o gwałt publiczny, tam sąd sołtysi nie wchodził w grę, a występowała natomiast ingerencya najwyższego w Kresie „sądu kryminalnego muszyńskiego".

Powinności.

Powinności kmiece były czworakie: biskupie (na rzecz stołu biskupiego), kościelne (na rzecz plebana), dworskie (na rzecz dworu muszyńskiego i folwarków) i sołtysie. Najwięcej różnorodności spotykamy przy powinnościach dla stołu biskupiego. Przedewszystkiem opłacał kmieć czynsz z roli. Za podstawę wymiaru służył łan, z którego płacono na św. Marcin po złp. 1 groszy 15.

Największemi ilościowo są robocizny, pierwotnie odrabiane, a w XVII. wieku zamienione na roczny czynsz. W skład tego rodzaju czynszu wchodziły robocizny: tramowe (za to, że nie odwożono drzewa do piły trackiej) i torowe (że nie jeździli po wino do Węgier). Czynsz ten, płacony na 3 Króle, wynosił tytułem robocizny 4 złp., tytułem tramowego 1 złp., torowego 1 złp. groszy 15.

Osobliwszą, choć ilościowo niewielką pozycyę stanowił czynsz, zwany jarząbkowe z jajcowem, płacony na Wielkanoc. Bliżej nie podobna tego czynszu określić, nie wiemy bowiem wcale, co służyło za podstawę jego wymiaru. To pewna, że nie wchodziła tu w grę ani pewna, ściśle oznaczona ilość ziemi, ani ludność. Z cyfr, nie wykazujących stałego stosunku, trudno w tej mierze wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Powinnością kmiecą, przyczem wchodziła w rachubę ilość ziemi, był czynsz, zwany grzywnowe z kuchennym i serowem, płacony na św. Trójcę.

Dziesięciny.

W wymiarze dziesięciny zauważa się tu pewne ujednostajnienie. Dziesięcina była tu snopowa lub wytyczna. Przeważnie dawał kmieć z roli kopę owsa. Termin oddawania dziesięciny trwał do św. Marcina. Sposób oddawania dziesięciny był dogodnym — nie oddawano jej bowiem w polu, a po drugie było też ściśle określone, komu ją oddawać należy. Oddawano ją popowi temu, który sprawował w danej wsi obowiązki duszpasterskie.

Powinności dworskie.

Te objawiają się zazwyczaj w posługach na rzecz dworu muszyńskiego i folwarków, których było 4. Ilość dni roboczych była zmienną o tyle, że nie wszystkie wsie odbywały równą ilość dni roboty. I tak wsie Popradnie odbywały pieszo 4 dni, sprzężajnie 3 dni w roku. Zaleśne zaś 1 dzień sprzężajem i 4 dni dni pieszo. Czas i rodzaj roboty nie był określony z góry, lecz zastosowany wedle potrzeby dworu. Ilościowo jednak pańszczyzna tu nie jest ciężką i ogranicza się tylko do mężczyzn. Można też było zamienić pańszczyznę na pewien roczny czynsz, płacony według dowolnej umowy. Właściwa więc pańszczyzna, uciążliwa gdzieindziej, tu była ograniczona prawie do minimum, może dlatego, że w kluczu muszyńskim wogóle nie prowadzono gospodarstwa folwarcznego na wielką skalę, obliczonego na eksport jak raczej tylko na utrzymanie starosty i jego dworu, ztąd robotę na folwarkach spełniała w większości czeladź dworska pod dozorem gospodarzy folwarcznych.

Powinności sołtysie.

Podstawą wymiaru był dokument lokacyjny. Kmieć odrabiał robotę sołtysowi zazwyczaj 2—3 dni (wyjątkowo 6 dni) w roku. Był to ciekawy rodzaj powinności, rzadko gdzie spotykany.

Powinności całego kresu.

Do robocizn, wykonywanych przez całą wieś, należały roboty ciesielskie około poprawy budynków dworskich i zamkowych, folwarcznych, młyna, browaru i 3 karczm — dostarczanie pewnej ilości gontów (z łanu 1 kopa), drzewa budulcowego (z łanu 1 półtram) i opałowego (z łanu 4 fury).

Specyalnie powinni:

1. poddani całego kresu ku swojej potrzebie mają mieć lonty i kule.

2. Każdy kmieć winien mieć porządny rynsztunek, rusznicę lub muszkiet, szablę, ładownicę i siekierę, komornik zaś kosę.

3. Warty odprawiać w zimie i w lecie po 10, także i podczas jarmarków.

4) Kres miał własnym kosztem utrzymywać harników (rodzaj dziś żandarmeryi i policyi), którzy mieli być przysięgli, aby spełniali swój urząd sumiennie i sami nie dopuszczali się ekscesów.

Nadto wspólnie odrabiano szarwark t. j. powinność, która ciążyła na wszystkich poddanych, ponieważ służyła dla ogólnego dobra i pożytku. Ilość dni szarwarcznych nie była stałą, lecz zależnie od potrzeby. Za podstawę nie służyła tu ilość posiadanego gruntu, lecz ilość osób w danej włości. W obręb szarwarka wchodziły zwłaszcza naprawa dróg, mostów, jarów i grobli przy młynach, naprawa sztachet i dachów w zamku muszyńskim (istniały bowiem jeszcze niektóre zabudowania zamkowe, obrócone na przechowywanie materyałów obronnych, jak armat, kul, tramów, tudzież środków żywności).

Nadto w razie przyjazdu biskupa lub jego komisarzy kres miał tworzyć zbrojny orszak (niejako świtę).

Prócz tego każda wieś z osobna składała jeszcze pewne czynsze i daniny. Należały tu: kocowe (płacono wszędzie po 1 złp.), zającowe (1 złp.), kury i gęsi. Co do drobiu, to dawano zazwyczaj z 2 łanów 1 gęś i 1 kurę. Niektóre wsie (zaleśne) obowiązane były do wożenia soli, mogły jednak powinność tę zamieniać na czynsz, który razem wynosił rocznie około 200 złp. Nadto każda wieś obowiązana była do płacenia obiednego (był to czynsz, obejmujący tak poddanych jak i sołtysa w celu utrzymania komisarzy biskupich lub jego wysłanników w razie ich pobytu w kresie (tak kmiecie jak sołtys płacili po 8 groszy).

Powinności sołtysie (wobec biskupa).

Te obejmowały czynsz i posługi. Do czynszu należało „browarne (wynoszące od każdego kmiecia po 3 złp.. płacił je sołtys za kmieci, o ile miał browar); młynne. czynsz ztąd płacony nie był określony dokładnie. Według summaryusza prowentów z 1668 r. płacili sołtysi młynnego od 3—24 złp.. średnio około 10 złp.

Odnośnie do usług należała tu w pierwszym rzędzie służba wojskowa.

Sołtysi tutejsi tworzyli dragonię biskupią, która w razie niebezpieczeństwa stawała do obrony kresu. Ubranie i konia winien był sołtys sprawić sobie własnym kosztem. a także i uzbrojenie. W czasie służby wojskowej wypłacano każdemu z sołtysów miesięcznie po 10 złp. tytułem żołdu. Po skończonej potrzebie wracaja do domu; wyjątkowo zatrzymywano ich dłużej. a wtedy płacono im żołd wyższy, podobnie jak cudzoziemskim chorągwiom. Dragonia sołtyska należąc do milicyi biskupiej, nie bierze nigdy udziału w wojnach zewnątrz Rzpltej polskiej prowadzonych, wyłącznie służąc ku obronie kresu.

Sołtysi młynarze (tylko kilku nie miało młynów) obowiązani byli do robót ciesielskich we dworze muszyńskim.

Sołtysi — była to na ogół warstwa lepiej uprzywilejowana społecznie i ekonomicznie, niż kmieca. Mając większą jednostkę gospodarczą i nie ponosząc znaczniejszych ciężarów publicznych posiadają większy udział w życiu publicznem. Polem działania jest tu zwłaszcza sądownictwo. Stanowią bowiem sądy niższe. wydając wyroki osobiście i biorą udział w sądownictwie wyższem (Sąd kryminalny muszyński) jako reprezentanci całego kresu (wójt kreski z ławnikami kreskimi). Mieli też udział częściowo i w administracyi wewnętrznej wsi, wybierając czynsze i daniny od kmieci. kierując robatami i reprezentując wieś na zewnątrz. Wyróżniali się też i sposobem odbywania służby wojskowej; podczas. gdy kmiecie odbywali ją pieszo, to ci służyli konno.

Najgorzej upośledzeni wśród warstwy włościanskiej byli to zagrodnicy i komornicy.

Zagrodnicy, posiadając szczupłe role ogrodne na nawsiu. płacili wprawdzie nieznaczny czynsz i daniny, lecz nie mieli uprawnienia w życiu publicznem wiejskiem. Pełniąc powinności, wykonywali zazwyczaj usługi osobiste sołtysowi i we dworze.

Komornicy, nie posiadając gruntu. mogli jednak chować bydło. Roboty, podobnie jak u zagrodników, a nadto wyrabiali

przędziwo do dworu (rocznie sztuka płótna) i trudnili się plewieniem ogrodów pańskich.

Obydwie te ostatnie kategorye ludności włościańskiej stanowiły właściwy proletaryat wiejski. Nie mając innych źródeł dochodu i utrzymania, trudnili się rzemiosłem; najwięcej spotykamy tu popielarzy, trudniących się wyrobem popiołów drzewnych, smolarzy, gonciarzy i hutników (huty szklane). W hierarchii społecznej zajmowali oni stanowisko najniższe. Uwidacznia się to także w ciężarach. Obowiązani do służby wojskowej stanowią prawie czeladź wojskową.

Wogóle jakkolwiek w mniejszym stopniu, niż gdzieindziej, jednak nie trudno zauważyć i tu różnicę w ukształtowaniu się warstw społecznych, dla których to stosunków społecznych podstawą i punktem wyjścia był dokument lokacyjny. Widać tu pewną ciągłość; niema natomiast żadnych poważniejszych kataklizmów natury prawno-społecznej. To też jakkolwiek materyalnie kmieć tutejszy nie mógł iść w parze z kmieciem n. p., z niziny, to jednak prawie, że brak pańszczyzny stwarzał dla niego położenie wcale dogodne. Nie było tu również zbiegostwa do sąsiednich wsi królewskich, które wykazują niższy stopień zaludnienia od wsi kreskich, mimo, że pod względem rodzaju gleby były w położeniu lepszem.

Pozostawałyby jeszcze do omówienia stosunki ekonomiczne i prawno-społeczne w obu miasteczkach, t. j. Muszynie i Tyliczu. Wiadomości źródłowe jednak, jakie w tej mierze posiadamy, są nieliczne i ogólnikowe, tak, że trudno o ujęcie całości nawet w najogólniejszych zarysach.

— — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — —

WŁADYSŁAW BEBYNEK.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„Lechia Pseudo-Focyusza“.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Post dziewięciotygodniowy w kościele. Wzmianki o nim u pisarzy zachodnich. Zarzuty Greków przeciw postom łacińskim. Refutacye zachodniego duchowieństwa. Post dziewięciotygodniowy w Polsce i jego geneza.

Wiedząc, że wymieniona w Opusculum Lechia nie należy do IX. w., przyjrzyjmy się postowi dziewięciotygodniowemu na Zachodzie, by łatwiej zrozumieć istnienie tegoż postu i w dawnej Polsce. W ten sposób odpowiemy i na pytanie, jaki zachodzi związek między postem dziewięciotygodniowym w Polsce a takimże postem w krajach zachodnich. Oświetlenie tej sprawy przyniesie nam i odpowiedź na pytanie, skąd ten post przyszedł do Polski.

Nie będziemy mówili o początkach i dziejach tego postu. Zaznaczamy tylko, że post ten dawną miał za sobą w Kościele tradycyę, że początek jego sięga głęboko w pierwotne dzieje kościelne. Sprawa ta stoi w ścisłym związku z Postem Wielkim. Wiemy, że obchodzenie i zachowywanie Postu W. sięgało swą tradycyą do czasów poapostolskich. Według mniemania dawnych Ojców Kościoła łączy się Post W. z dobą pierwszych biskupów rzymskich, z czasami pap. Xystusa I. (117—127) i następcy jego, męczennika Telesfora (127—139). Tylko trwanie i długość jego, oraz sam rodzaj i sposób poszczenia nie był wszędzie jednolity. [1]) Rozkładano bowiem 40 dni Postu W. na 9, 8, 7, 6 tygodni, stosownie do tego, ile dni w tygodniu poszczono; chodziło tylko o to, by wypełnić

[1]) Hergenroether J., Handbuch der allgem. Kirchengesch. w oprac. J. P. Kirsch'a. Fryburg w Bryzg. 1902, I. 223 i 474.

owych dni 40. Im więcej dni w tygodniu poszczono, tem mniej tygodni trwała Czterdziestnica. Że Post W. zaczynano w niektórych okolicach już od Siedmdziesiątnicy, mamy dowody w wielu źródłach zachodnich, tak z czasu, kiedy Grecy występowali przeciw różnicom postnym wśród łacinników, jak i z czasu wcześniejszego.

Przejdźmy niektóre źródła średniowieczne z epoki rozpatrywanej i omawianej. Alkuin wspomina w liście pisanym do Karola W. w r. 798 o poście dziewięciotygodniowym w kościołach wschodnich, u Greków zaś wymienia post trwający 8 tygodni,[1]) w odpowiedzi Karola W. również spotykamy się z tą nazwą.[2]) Podobnie i list Amalariusa Fortunata,[3]) biskupa trewirskiego z pocz. IX. w. do Hilduina, opata w St. Denis pod Paryżem, wymienia kilkakrotnie i post dziewięciotygodniowy.[4]) Wspomina o wstrzymywaniu się w tym czasie od śpiewania Alleluja;[5]) wogóle czas pokuty i umartwienia od Siedmdsiesiątnicy znany był na Zachodzie. Miał on tu pewne zachowanie oraz tradycyę dawniejszą, jak wskazują na to inne zwyczaje, stojące w związku z Siedmdziesiąt-

[1]) „Audivi, dum Romae essem, quosdam dicentes magistros, quod orientales populi n o v e m hebdomadas et Greci octo et latini septem ieiunare soleant; et inde consuetudinem Romanam sumpsisse ecclesiam: septuagesimos, sexagesimos et quinquagesimos dies nuncupare dominicos. Hoc quia a talibus non audivi magistris, quorum auctoritati me tradere auderem, omnino confirmare non fui ausus." J a f f e, Bibl. Rer. Germ. t. VI. Monumenta Alcuiniana (ed. W a t t e n b a c h et D u e m m l e r). Berlin 1873, str. 399; ob. tamże inne ustępy i str. 401.

[2]) „cur alii sex, alii septem, alii octo, n o n n u l l i v e r o n o v e m abstineant ebdomadas"... tamże str. 404; „Similiter, qui n o v e m, septuagesimam... nomen imposuerunt..."; „S e p t u a g e s i m a... propterea ab aliquibus observatur... a s e p t u a g e s i m a vero usque in pascha n o v e m ebdomadae sunt, quae faciunt dies 63", str. 404 i 405.

[3]) Amalarii Fortunati, episc. trevir. Epistula de tempore... ieiunii. Neues Archiv d. Gesellsch. f. ält. deutsche Geschichtskunde, t. 13, Hanower 1888, ed. G. M e i e r, str. 305—323.

[4]) „Et legi in litteris Albini... de septuagesim, quod audiret in coetu Romanae ecclesiae quosdam ab illo tempore, id est septuagesimi numeri, olim orientales inchoasse ieiunium, quod fieri potest propter refectionem quintae feriae". Ibid. 311.

[5]) Ieiunamus de Alleluia IX ebdomadas... Quem usum videtur tenere ecclesia nostra, propter communionem universalis ecclesiae, ut aliquomodo a licitis abstinendo cum universali concordemur, id est ab Alleluia novem septimanas, concordando cum his, qui dicuntur ieiunare aut ieiunasse novem septimanas." Ibid. 311/12.

nicą, n. p. zaprzestanie śpiewania Alleluja w tym czasie.[1]) zakaz zawierania od tej pory małżeństw, oraz rozpoczynanie pokuty i umartwienia duszy w Kościele zachodnim.[2])

Z dni walki za Focyusza, kiedy łacinnicy odpowiadają na zarzuty Greków, posiadamy szereg wzmianek o poście dziewięciotygodniowym. Wezwanie papieża Mikołaja[3]) do duchowieństwa zachodniego, aby odparło greckie zarzuty, odniosło skutek. Hinkmar[4]) arcyb. remeński odniósł się do swoich sufraganów oraz innych metropolitów w tej sprawie. Odo, biskup z Beauvais (Bellovacum) uczynić miał zadość życzeniom swego arcypasterza, podobnie i mnich z Corvei (dyec. remeńska) Ratrammus. Pisał też Eneasz, biskup paryski. Pisma Ratramma i Eneasza, przechowane do dziś, omawiają i post dziewięciotygodniowy; tak samo i synod wormacki dostojników Kościoła niemieckiego z r. 868 mówi o poście od Siedmdziesiątnicy. Eneasz omawia w piśmie swem[5]) zarzuty Greków co do postów, zbijając je, a wykazując ich bezpodstawność, popiera swoje wywody cytatami z Pisma św. i pisarzy Kościoła. Nie wymienia imiennie żadnej krainy na Zachodzie z postem dziewięciotygodniowym, natomiast na Wschodzie zna taki post w Palestynie i w Egipcie.[6]) Wogóle istniało na Zachodzie przekonanie.

---

[1]) Oprócz zarzutu o poście dziewięciotygodniowym, zarzut 7 mówi, że łacinnicy nie śpiewają Alleluja od Siedmdziesiątnicy do Wielkanocy. Por. też niżej cytowane pismo Ratramma, ks. IV, rozdz. 4, które broni tego zwyczaju, podobnie i synod wormacki z r. 868 zaznacza, iż Septuagesima jest symbolem 70-letniej niewoli babilońskiej, dlatego ustaje wówczas śpiew Alleluja. Migne, Patrol. lat., t. 119, str. 1208. Ob. też Binterim, Denkwürdigkeiten, t. V, cz. I., str. 171; Hefele, Conciliengesch. t. III., str. 81.

[2]) Synod w Etemps r. 1091. Hefele, V. 202.

[3]) Migne, t. 119, str. 1208.

[4]) Hincmari Remensis Annales (ad 867), M. G. H. SS. I. 475. por. też Ann. Fuldenses, ibid. 580. Zob. Hefele, Conciliengesch. IV. 362 i n., Herg. I. 667 i n., Jaffe, Regesta Pontificum, nr. 2179. str. 253, Prolegomena u. Willa Acta et scripta, str. 36 i n. Ob też dzieło Pichlera: Gesch. der kirchlich. Trennung i krytykę tegoż Herzenr.: Neue Studien über die Trennung der morgenl. u. abendländ. Kirche. Würzburg, 1864.

[5]) Liber adversus graecos, w rozdz. 175 p. n.: „De vario usu abstinentiae diversarum regionum“ i w następnych. Ogłosz. w Spicilegium sive Collectio veterum aliquot scriptorum... ed. D. L. D'Achery, t. I. Parisiis 1723, wyd. 2, str. 112—149. Przedr. Migne, Patrol. lat. t. 121, str. 685—762.

[6]) „De hoc etiam quod quaeritur, quare septem hebdomadibus ante Pascha ab esu casei et ovorum non abstinemus, sed tantummodo

że wschodnie kościoły obchodzą dłuższe posty, aniżeli zachodnie. Przekonanie to jednak gubiło się w powtarzaniu posłyszanych wieści lub w niedokładnych ogólnikach. [1]) Obszerniej odpowiada na zarzuty Ratrammus. [2]) Odpowiedź jego jest dosadniejsza i gruntowniejsza. Gdy ton odpowiedzi Eneasza był spokojny, Ratrammus uderza ostro przeciw Grekom, starając się wykazać złą ich wolę, bezpodstawność i kłamliwość zarzutów, wyszydzając też zarzuty i ich autorów. W ks. IV. omawia on różnorodność obyczajów zachowywanych w Kościele, post w sobotę, wreszcie Post W. [3]) Tu też wymienia i post dziewięciotygodniowy, przeciwstawiajac go postowi greckiemu, t. j. ośmiu tygodniom mięsopustu a siedmiu bez nabiału. Objaśnia też liczbę dni i tygodni różnorodnego trwania

sex; dicendum breviter quia talis exactio superflua ex sanctis scripturis non habet auctoritatem: nam per diversas regiones varius exercetur abstinentiae usus. Aegyptus namque et omnis Palaestina novem hebdomadibus ante Pascha jejunant." Achery, str. 140.

[1]) Por. n. p. Ratherii episcopi veronensis Sermones (S. I.) Migne, Patrol. lat. t. 136, str. 695, 5: „Sciendum sane, quod sub una fide sint consuetudines Ecclesiarum diversae: Orientales et longiorem et austeriorem, quam nos, faciunt Quadragesimam". To samo zdanie, gdy post dziewięciotygodniowy został na Zachodzie zapomniany, przyczyniło się do tego, że dawny post dziewięciotygodniowy w Polsce uważano za wpływ kościoła greckiego.

[2]) Contra Graecorum opposita, Romanam ecclesiam infamantium. Libri quatuor. Achery, Spicilegium, t. I. str. 63—112, Migne, t. 121. str. 223—346.

[3]) „Transeamus jam ad illud... quod non jejunemus sicut illi octo hebdomadas ante Pascha a carnium et septem hebdomadibus a casei et ovorum esu suo more non cessamus. Sic ista dicentes, tamquam hanc illorum consuetudinem omnes Orientales et Occidentales, praeter Romanos, Ecclesiae conservent: quandoquidem tam in Orientalibus quam in Occidentalibus Ecclesiis multa diversitas inveniatur aliis sex hebdomadibus, praeter Dominicam, Ecclesiis ante Pascha jejunantibus; aliis ante sex septimanas; aliis ante septem Paschae septimanas jejunium inchoantibus: id est, quidam jejunium Paschale inchoant sexta hebdomada ante Pascha, nonnulli septima, plures octava: superaddunt etiam alii nonam." Achery, I. 100: „Jam vero cum illis, qui novem hebdomadibus jejunando Paschale tempus praeveniunt, nullam isti (Graeci) habere communionem; quandoquidem in nona hebdomada nec ab ovis, nec a caseo, neque a carnibus se continere profiteantur." Tamże 100 i 101.

Postu W., tłumacząc, dlaczego niektórzy zaczynają pościć od Siedmdziesiątnicy, t. j. przez dziewięć tygodni. [1])

Wspomina dalej o opuszczaniu Alleluja przez dziewięć tygodni na oznakę pokuty i skruchy, postu duchowego i pokory serca. Radość i wesele milkną wtedy w Kościele. Niesłuszne są zatem zarzuty Greków, bo łacinnicy dłużej poszczą — przez dziewięć tygodni bowiem trwa u nich czas umartwienia i pokuty. Nie widzi Ratrammus w zarzutach Greków słusznej zasady, zwyczaj bowiem poszczenia w czasie Postu W. nie jest jednaki we wszystkich Kościołach i żaden nakaz boży ani prawo nie obowiązuje bezwzględnie w tym kierunku, lecz każdemu Kościołowi wolno się trzymać zwyczaju przodków. [2])

---

[1]) „Hac de causa Graeci non habent quid Romanis objiciant super septimanarum disparilitate, quoniam quod illi in octo hebdomadibus faciunt, per singulas hebdomadas quinis non amplius diebus jejunantes, hoc tam Romana, quam Occidentalis Ecclesia, sex hebdomadibus perficere noscuntur; superadditis quatuor diebus hebdomadis septimae.“ Tamże 101: „Nam si octo hebdomadarum sex diebus Graeci jejunarent sicut faciunt Romani vel omnes fere Latini, non in quadragesimam, sed multo amplius ante jejunarent: octies enim seni quadraginta octo perficiunt“. O ośmiu tygodniach postu względnie siedmiu (bez nabiału) u Greków mówią Alkuin, Eneasz, Ratrammus, Amalarius i i. Objaśnia też Ratrammus dalej: „Qui vero nec Sabbato, nec Dominica jejunant et tamen ante Pascha quadragesimam implere gestiunt, necesse est, ut octava hebdomada jejunium incipiant. Nam quinque tantum diebus per singulas septimanas jejunare comprobantur et octies quini quadraginta perficiunt, qui quadragenarius octo septimanis lege praescripta perficitur. Huic vero numero (id est, duobus diebus Dominicae et Sabbato, quibus non jejunantur, qui quintam Sabbati superaddere malunt, quadragesimam ante Pascha jejunare non possunt, n i s i n o v e m j e j u n i u m h e b d o m a d a e f o r t i a n t u r: tribus enim ablatis de septem, Dominica videlicet, Sabbato et quinta Sabbati, supersunt quattuor dies per singulas hebdomadas jeiunii: et quaternarii novies ducti triginta sex, non quadraginta implere noscuntur: et cum quadraginta jejunando dies non impleant, quadragesimam tamen implere se dicunt.“ Tamże 101.

[2]) „... consuetudo jejunandi ante s. Pascha cunctis Ecclesiis non sit uniformis, nec ulla divinorum mandatorum lege constringuntur ad ista; sed unicuique licitum sit Ecclesiae suorum sequi majorum consuetudinem.“ Tamże 102. Ratrammus zaznacza też: (101): „Quod si jejunium est humilitatis exequutio... plures quam Constantinopolitani tam Romani quam Occidentales hebdomadas jejunant: siquidem cantica solemnia videlicet alleluya, sed Martyrum solemnitates, novem ante Pascha septimanis Occidentalis Ecclesia nequaquam solemni more frequentat, sed ab omni celebri glorificatione, quam per totius anni spatium frequentare consuevit, sese continet...“

W prowincyach niemieckich był także znany post dziewięciotygodniowy, jak nas w tej mierze poucza synod z r. 868. [1]) Zgromadzeni w Wormacyi dostojnicy Kościoła niemieckiego, odpierają w piśmie refutacyjnem zarzuty Greków. I tu mamy szereg ustępów odnoszących się do Postu W., trwającego dziewięć tygodni. [2]) Podobnie jak Eneasz i Ratrammus zbijają zarzuty Greków cytatami Ojców Kościoła. Gdzie Pismo św. nie daje wyraźnych nakazów, trzymają się Starego Zakonu lub urządzeń i ustanowień przodków. [3]) Kładą nacisk na różnolitość tych zwyczajów u różnych ludów i na niemożliwość oceniania jednych według litery drugich. [4]) Argumenty swe popierają i cytatami powag kościelnych, znanych i uznawanych na Wschodzie. Obszernie też odpowiadają na zarzuty w sprawie postu dziewięciotygodniowego. [5]) Tłumaczą, dlaczego od Septuagesimy zaczynają ten post i jakie ma on znaczenie.

Jest też i cały szereg innych jeszcze pism tego rodzaju, które zajmują się kwestyą różnego czasu trwania Postu W., u żadnego jednak z zachodnich polemistów nie spotykamy w apologiach i refutacyach imienia Lechii ani też Polski. W niektórych (n. p. w jednem z pism przeciw Grekom) [6]), tłumaczonem z greckiego na język łaciński, czytamy argumenty, w imię których zreformowano

[1]) Responsio Episcoporum Germaniae Wormatiae coadunatorum De Fide S. Trinitatis contra Graecorum Haerasim. M i g n e, Patrol. lat. t. 119, str. 1202—1211. Aventinus pisząc w XV. w. nazywa ów synod „eccles. conventus Teutonum et Venedorum".

[2]) M i g n e, t. 119, str. 1205.

[3]) „mos populi Dei vel instituta majorum pro lege tenenda sunt." Tamże str. 1206.

[4]) Tamże str. 1205 i 1206.

[5]) „Igitur hoc quadragesimale jejunium... regulariter tenemus et cetera jejunia, quae a Septuagesima.. sponte et humano arbitrio agimus, non auctoritate evangelica, vel apostolorum doctrina..." Tamże 1208 i n.: „similiter qui n o v e m. Septuagesimam juxta post factam rationem novem imposuerunt, ut non ob numerum hebdomadarum, vel dierum vel tenorem nominis servantes haec nomina consuerunt, veluti secuti nunc fuissent qui decimam hebdomadem addere pro aliqua justa ratione voluissent, non propter numerum hebdomadarum decagesimam seu quolibet alio nomine, vel propter numerum dierum Septuagesimam sed octavagesimam ordine conservato vocabulorum recto tramite pergente nuncupare debuissent" Tamże 1210.

[6]) Pismo to znane jako M a n u e l i s C a l e c a e Libri IV. Contra Graecos, De ieiunio. Bibl. Patr. Lugdun., t. 26, str. 320—466. Za tłumacza uchodził Ambrosius Camalduensis Traversari (ok. 1386—1439).

w Polsce w r. 1248 post dziewięciotygodniowy, gdy się na ów post koloniści niemieccy użalać poczęli.

Tyle wystarczy, by zrozumieć, iż post dziewięciotygodniowy nie był na Zachodzie obcy. Czy jednak już w IX. w. był on celem pocisków greckich, trudno osądzić. W każdym razie nie był on specyalnym punktem polemiki. Kiedy jednak chodziło o post sobotni, wynikała ztąd konieczność dłuższego lub krótszego czasu trwania Postu W., ztąd też i w polemice poruszano nawet i post trwający dziewięć tygodni. Niema zatem i mowy ani o wpływie klasztorów wschodnich, ani o tem, by post ten nie był znany w Niemczech. Już Herg. podnosił,[1] że na Zachodzie czas smutku, umartwienia, skruchy i wstrzemięźliwości w okresie przedwielkanocnym poczynał się od Siedmdziesiątnicy. Gdyby wiedział, że Polska znała ów post pierwotnie, znalazłby w zarzucie 24-ym jeden z najwalniejszych dowodów późniejszego pochodzenia dziełka. Wychodząc bowiem z założenia, że Lechia może tylko Polskę oznaczać i że Polska przyjęła chrzest dopiero w drugiej połowie X. w., oraz wiedząc, że post dziewięciotygodniowy przetrwał tu do r. 1248, nie zawahałby się przyjąć, że Opusculum powstało dopiero po X. w., a więc n. p. w XI. wieku — jak zresztą i stwierdził w zasadzie — i Lechii nie uważałby bezwarunkowo za wtręt późniejszy.

Istniał tedy u nas ongis post dziewięciotygodniowy, jak nas w tej mierze liczne pouczają źródła.[2] Tylko co do jego genezy

---

[1]) Herg. III. 216, 218.

[2]) Ze źródeł wymienić należy przedewszystkiem postanowienia synodu wrocławskiego z r. 1248, które przeprowadzają reformę tego postu. Ponieważ koloniści niemieccy nie chcieli zaczynać postu od Siedmdziesiątnicy, do czego ich pod grozą klątwy zniewalali biskupi polscy, legat papieski w porozumieniu z duchowieństwem polskiem, zezwala mieszkańcom Polski, tak Niemcom, jak i Polakom, albo zaczynać post od siedmdziesiątnicy t. j. 9 tygodni, albo też od popielca t. j. sześć i pół. Formalnie więc post dziewięciotygodniowy istnieje nadal, choć nie obowiązuje bezwzględnie wszystkich, zależąc tylko od woli każdego, faktycznie jednak postanowienia te stają się przyczyną zanikania tego postu. Ob. Statuta synodalia dioeces. s. eccl. Wratislaviensis, ed. M. de Montbach, str. 306/7 i Helcel Z. Starodawne prawa polskiego pomniki. t. I. str. 352/3, § 12. Przypuszczają, że inne źródło De S. Adalberto, które wspomina o tym poście, jako istniejącym jeszcze w Polsce, pochodzi z XII. jeszcze wieku. Moment ten jednak nie jest decydujący, legenda bowiem i po r. 1248 mogła się wyrazić: „ita tamen (colitur et tenetur) ut per duas hebdomadas precedentes ab esu duntaxat carnium se abstineant.“ M. P. H. IV. 217. Jest to właśnie

i pochodzenia różne były przypuszczenia i sprawa ta nie została dotąd stanowczo rozstrzygnięta i wyjaśniona. Ks. Szcześniak omawia i ów post. Zapatrywania jego na ten przedmiot są odmienne, aniżeli ks. Czayk. Książki obie uzupełniają się jednak i prostują wzajemnie. Ks. Szcz. nie znał jeszcze pracy ks. Czayk., gdy dzieło swe pisał, mimoto jednak mówiąc o pierwotnym czasie trwania u nas Postu W.. odpowiada niejako ks. Czaykowskiemu.

Gdy ten przypuszczał, że post dziewięciotygodniowy przynieśli do nas mnisi wschodni, ks. Szcz. sądzi, że mógł przyjść do nas i z Zachodu, gdzie był znany. A tak o Poście W. pisze autor: „Gdyby pierwotny Kościół polski miał przyjmować termin rozpoczynania Postu Wielkiego i sposób jego zachowywania od któregokolwiek z Kościołów wschodnich, to oczywiście przyjąłby go od Kościoła Carogrodzkiego, przez przypuszczalne pośrednictwo Moraw lub Rusi. Atoli w epoce, kiedyśmy przyjmowali wiarę chrześcijańską i długo potem, Kościół Carogrodzki odwiecznym zwyczajem rozpoczynał Post Wielki w Niedzielę Pięćdziesiątnicę i pościł przez siedem tygodni.[1]) Ponieważ zaś Polacy, podług Długosza, rozpo-

stanowisko synodu wrocławskiego, który dopuszczał dowolność wcześniejszego lub późniejszego zaczynania postu. Po synodzie wrocławskim częste są o tym poście wzmianki, np. Roczn. kapit. krak. (M. P. H. II., 805); Roczn. Sędziwoja (ibid. 877); Roczn. Franciszk. krak. (ibid. III., 49); Roczn. małopolski (kod. kuropatn., ibid. 168, kod. krol. 169): Roczn. górnośl. (ibid. III. 715); Boguchwał (kron. wielkop.) ibid. II. 565; Roczn. wielkop. III., 14 (por. Ann. capit. Posnan. M. G. H. SS. 29, str. 443. Por. też Miracula S. Adalberti (M. P. H. IV., 231). Legenda De S. Adalberto i Miracula łączą powstanie tego postu ze św. Wojciechem, roczniki i kroniki mówią o nim przy synodzie wrocławskim, natomiast źródła śląskie Chronica Polonorum i Chronica principum Polon. (M. P. H. III., 620 i III., 446) łączą ten post ze zwolnieniem Kazimierza Mnicha od ślubów zakonnych. Późniejsze źródła, począwszy od Długosza, oraz literaturę nowszą ob. w rozprawce mojej p. n. Post dziewięciotygodniowy w Polsce, ogłosz. w Przegl. histor. w Warszawie.

[1]) Por. powyżej przypiski o poście greckim: por. też Manuelis Caleeae De ieiunio: „Plurimi item sunt, qui Occidentales, quod non ut ipsi ieiunant, insimulant... Et certe Armenios in ieiuniis... nostros (t. j. Greków) sine ulla comparatione superare comperiet. Ita enim illi cibis, quando ieiunant, (ieiunant autem plus ceteris) abstinent: ut si quis ex nostris cum illis, ieiunio contenderit, ridiculus futurus sit; non tamen illos idcirco se meliores dicturi sunt. Omnino autem de cibis et potibus et indumentis, quaequae ipsi faciunt: Latinos, quia consuetudinibus suis, quas ab initio acceperunt, utentes, non faciunt, haereticos notant. Volunt enim, si fas sit, omnes totius

czynali ten post w Siedmdziesiątnicę czyli o całe dwa tygodnie wcześniej, aniżeli Carogród, przeto nie mogli tego terminu przejąć od Carogrodu." [1]) Za Binterimem powiada następnie, że na Zachodzie znany był post taki, „że w epoce Karola W. pomimo ogólnego niemal zwyczaju w wielu krajach Europy zachodniej rozpoczynania Postu W. w niedzielę zwaną Pięćdziesiątnicą, gorliwość religijna skłaniała wielu chrześcijan do wyprzedzania tego terminu zwyczajowego i do rozpoczynania postu w Sześćdziesiątnicę, a nawet w Siedmdziesiątnicę. Mnisi zwłaszcza, a za nimi i duchowieństwo świeckie, na mocy prawa zwyczajowego, rozpoczynali Post W. wcześniej, niż ogół wiernych, zazwyczaj w Sześćdziesiątnicę lub Siedmdziesiątnicę." [2]) W myśl tych wywodów podaje i genezę tego postu: „Ponieważ zwyczaj rozpoczynania Postu Wielkiego w Siedmdziesiątnicę trwał w niektórych prowincyach niemieckich jeszcze w wieku X., przeto można przypuszczać, że przynieśli go do Polski pierwsi misyonarze niemieccy." [3]) Podaje nawet autor domysł, skąd ci misyonarze post ten przynieśli, gdy jednak sąd ten opiera się na danych o czem innem mówiących, wolimy nie iść tak daleko za autorem. Dość nam zresztą, gdy powiemy, że z Niemiec. Nie przytacza wprawdzie ks. Szcześniak przykładów na poparcie swych wniosków, cytując jeden tylko przykład, który zresztą odnosi się tylko do zakazu zawierania małżeństw od Siedmdziesiątnicy, wystarcza mu bowiem zdanie Binterima, [4]) ale na wnioski jego w zupełności się zgadzamy, bo są słuszne. „Pierwotna długość Postu W. w Polsce — oświadcza autor — nie da się wyprowadzić z Kościoła wschodniego, a natomiast doskonale się przystosowywa do ówczesnej karności postnej na Zachodzie. A przeto rozpoczynanie

---

orbis gentes, sub unam inducere consuetudinem..." Bibl. Patr. 26. str. 452.

[1]) Szcześniak, Obrządek słow. str. 188.

[2]) Ibid. 185.

[3]) Ibid. 185.

[4]) „Der fromme Sinn der damaligen Christen gieng so weit, dass sie zuweilen vom Sontag Septuagesima oder Sexagesima sich schon von Fleischspeisen enthielten und die Fasten also weit anfiengen." Binterim, Die vorzüglichsten Denkwürdigkeiten der Christkatholischen Kirche... Moguncya 1838. t. II. cz. 2. str. 593 i 594. Por. Kraus, Lehrbuch der Kirchengeschichte, wyd. 4, r. 1896, Trewir, str. 206: „Im Abendland fing man denn auch den Osterkreis 2 Wochen früher mit der Septuagesima an, welche Mönche und Geistliche bereits mit Fasten begingen."

Postu W. w Siedmdziesiątnicę... nie jest dowodem wpływów wschodnich na Kościół polski...“ [1])

Z poprzednich wyjaśnień wynika, iż post dziewięciotygodniowy w pierwotnej Polsce nie przyszedł z Carogrodu, bo tam był nawet namiętnie zwalczany i zaliczany w poczet nieporządków w Kościele łacińskim, jako ciężki zarzut. Przekonuje nas o tem Opusculum. To co się odnosi do Grecyi, zastosować musimy i do Rusi, bo i tu powtarza się tenże zarzut z Opusculum, które zostało wcielone do Kormczej Knigi. A zatem ani z Carogrodu ani też z Rusi nie mógł przyjść zwyczaj ten do nas, [2]) bo właśnie tu i tam zwalczano w zarzutach post dziewięciotygodniowy. Przekonaliśmy się też, że post ten znany jest dobrze w literaturze średniowiecznej i że na Zachodzie był albo obserwowany albo też pozostawił po sobie pewne ślady. Odpowiadając zaś na pytanie, skąd przyszedł on do nas, moglibyśmy dać dokładną odpowiedź, z których stron, z której miejscowości a nawet klasztoru przyszedł ów zwyczaj poszczenia od Siedmdziesiątnicy, gdybyśmy najdokładniej wiedzieli, skąd przybyli do nas pierwsi misyonarze, z jakiego pochodzili oni klasztoru. [3]) Ponieważ kwestya ta w zupełności nie jest jeszcze rozstrzygnięta, wolimy odpowiedź naszą ograniczyć. Punktem wyjścia w rozwiązaniu tego pytania będzie ów post.

Najwcześniejszą wzmiankę o tym poście w Polsce przynosi nam Dytmar, biskup merseburski, zmarły w 1018 r. Kronikarz ten opowiada o obyczajach panujących w państwie Bolesława Chrobrego. Między innymi zaznacza, że ostre i surowe kary spotykały tam tych, co przekraczali prawa boże. I tak, kto złamał post, jedząc mięso po Siedmdziesiątnicy, ulegał karze wybicia zębów. [4])

---

[1]) Szcześniak, str. 187.

[2]) Co do Rusi, wiemy jakie tam były posty. Osma niedziela zwała się tu Syrna (casacea dominica), od siódmej post ścisły. Nie może nas też mylić, że Herberstein w Rerum Moscovitarum commentarii, Antverpiae 1557, str. 35, podając tłumaczenie kanonów Metropolity Jana († 1088) pisze: „vel in septuagesima carne usi...“, bo pisarz ten zna dobrze stan rzeczy na Rusi (str. 32, 44 i n.) Septuagesimę położył tu Herberstein zamiast Quadragesimę zapewne przez pomyłkę (jako nazwę siedmiu tygodni postu na Rusi). O postach na Rusi por. też opis Gwagnina Moscoviae descriptio p. 89 (Sarmatiae europeae descriptio) Spirae 1581, Naruszewicz w Dziejach itd

[3]) Por. Szcześniak, str. 185.

[4]) „Et quicumque post septuagesimam carnem manducasse invenitur, abcisis dentibus punitur. Lex namque divina in hiis regionibus noviter exorta, potestate tali melius quam ieiunio ab episcopis instituto

Nie wyraża przytem kronikarz najmniejszego zdziwienia, owszem zadowolenie, bo mu się podobać tylko mogła ta stanowczość w nakłanianiu do przestrzegania ustaw kościelnych. I choć się zżyma na surowość zwyczajów i ostrość kar, narzeka, że w Niemczech rozwielmożniają się złe obyczaje, bo prawo ich nie karze. Że istniał jednak i znany był post od Siedmdziesiątnicy także i w niemieckich krainach, zaświadczył nam już o tem synod duchowieństwa niemieckiego z r. 868. Przetrwał on zapewne i po czasy Dytmara. A choć o poście dziewięciotygodniowym w Niemczech w X. i XI. w. prawie już nie słychać, jak nas o tem pouczają źródła owoczesne, dekrety biskupów itp., lecz i w XI. w. nie był on jeszcze zapomniany. Dytmar opowiada, iż cesarz Henryk II. w r. 1017 w niedzielę 10. lutego przestał jeść mięso, bo nastawała Siedmdziesiątnica. [1]) A choć cesarz ten znany był ze ścisłego wykonywania praktyk religijnych, można przypuścić, że nie był to w Niemczech wypadek odosobniony. Spotykamy zatem ów „post polski" i w Niemczech w XI. w. Tu więc jest pierwowzór owego postu, stąd przyjść on musiał do nas z pierwszymi misyonarzami niemieckimi. A gdy później do nas przyszedł, dłużej też w formie swej pierwotnej przetrwał, gdy już w Niemczech zanikał. I koloniści niemieccy przybywający do Polski w XIII. w. nie znali tego postu długiego, pościli już bowiem w Niemczech od środy popielcowej dopiero. Dlatego, aby ustały swary między Polakami i Niemcami, synod wrocławski w 1248 r. zezwolił na posty dwojakie, albo od Siedmdziesiątnicy, albo od Popielca. Wyłom ten sprowadził w następstwie zanikanie dłuższego postu w Polsce, tylko mnisi byli i nadal obowiązani do ścisłego przestrzegania tegoż. Zachowały się też i dawne nazwy, niedziela starozapustna, zapustna, po której dopiero następuje niedziela mięsopustna, poprzedzająca środę popielcową, od której zaczynał się post na nową modłę.

Dytmar podał nam pierwszą wiadomość o poście dziewięciotygodniowym w Polsce, drugą wzmiankę, późniejszą, ale z XI.

corroboratur." Mon. Pol. t. I., str. 312. Dytmar kron. ks. VIII., rozdz. 2, M. G. H. SS. 3, str. 861, ed. in usum schol. r. IX., str. 240.

[1]) „Dehinc imperator... ad Magadaburg venit... Postea luce, id est dominica die, quia septuagesima tunc instabat, carnem deposuit." Mon. Pol. I., 306, ks. 8, r. 37. Dytmar wspomina jeszcze siedmdziesiątnicę, mówiąc o ślubie Bolesława Chrobrego z Odą, który się odbył po Siedmdziesiątnicy (post septuagesimam, absque canonica auctoritate, ks. 8, r. 1), t. j. w czasie, kiedy już zaczął się czas skruchy i pokuty kościelnej i kiedy wesel nie można było odprawiać.

jeszcze wieku, mamy w Opusculum. Później dopiero idą źródła krajowe. Wzmianka w Opusculum o owym poście stwierdza nam tylko to, o czem wiemy ze źródeł obcych i naszych, odpowiada więc w zupełności istotnemu stanowi rzeczy. Jasne tedy jest pochodzenie postu owego, wywodzenie go zaś od mnichów wschodnich, z misyi carogrodzkich czy morawskich, łączenie go z obrządkiem słowiańskim, apostolstwem św. Cyryla i Metodego i wysnuwanie z tego daleko idących wniosków, wobec danych, jakie tu przywiedliśmy, uważać należy za hypotezę, dla której nie zdobędzie się nigdy najmniejszej podstawy naukowej, ani nawet pozoru prawdopodobieństwa.

Dr. T. E. Modelski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z pamiętnika Konfederatki
księżnej Teofili z Jabłonowskich Sapieżyny.

Część druga.

I.

Nowy Rok w Strasburgu. Wieści od księżnej wojewodziny bracławskiej. Dalszy przebieg akcyi rozbiorowej. Nadzieje Kossakowskiego. Zapowiedziane w Warszawie Senatus Consilium; ostry okólnik Stanisława Augusta. Branicki i Wielhorski. Balik u państwa Sapiehów. Koniec roboty Sułkowskiego w Wielkopolsce. Hołd białoruski. Próżniacy strasburscy. Czem jest dla emigrantki pióro i kałamarz. „Protestacya szlachcica polskiego przeciwko podziałowi". Zagadkowy głos obywatela polskiego w gazetach francuskich.

Rok 1773.

Nie żadna chwały próżność. lecz trwające też same co i roku przeszłego pobudki determinują mnie do kontynuacyi codziennego dyaryuszu.

Pomijam wszelkie wstępy, tylekroć one poprzedzenie (!) wspomniawszy. Nie piszę tu ani nauki moralnej, ani filozofii, ani nawet historyi: są to zdarzenia codzienne, tak, jako do mojej przychodzą wiadomości; znalezione więc kontradykcye nie są winą moją, ale skutkiem odmian, które wszystkim światowym rzeczom są zwyczajne,

1-ma Januarii. Dzień to jest ceremonii powinszowania Nowego Roku. Jeżeliby ją widział który cudzoziemiec, o zwyczaj tej ceremonii nie przestrzeżony, nie mógłby myśleć, tylko, że całe miasto skąsane przez tarantulę. Od godziny ósmej powszechny ruch wszystkich płci i kondycyi; szczęściem, że mniszkom nie wolno wychodzić z klauzury, kapucyni albowiem i wszyscy inni zakonnicy należą do tego zawodu generalnego. Zdałoby się, iż wszyscy sobie wzajemnie dali słowo, jakimby sposobem zbogacić furmanów,

karety do remise do najęcia mających. Tego dnia albowiem sowicie ich płacą. Całe więc miasto na wyścigach, mijają się i wymijają się, ledwie nie przed każdą bramą zastanawiając się nie już dla oddania wizyty, bo wszystkie domy zamknięte, ale dla złożenia biletów w koszyki na ten koniec przed drzwiami powystawowane.

Niechże więc wynoszą autorowie wiek teraźniejszy, jako wiek największej ogłady, kiedy jest tak pełen śmieszności.

Tegoż dnia odebrałam list od księżny bracławskiej[1]: odpisuje mnie na doniesienia i pytania, które jej dawniej posłałam. Dla utajenia cyfer przed cudzą ciekawością w liście otwartym dała im pozór niby konsultacyi o zdrowie moje przez doktora gdańskiego. Styl jej naturalny i w guście swoim jedyny tak to dobrze ukrył, że mógł zwieść i najwiadomszego. Decyfrującemu przyjacielowi kosztowało to część zdrowia, i słyszałam go mówiącego, że nieszczęście nigdy nie jest jednem, ale ta eksklamacya podobna do tajemnicy...

D. 2. Różne z różnych miejsc odebrałam wiadomości: jako to, że Kicki, starosta lwowski i Deyma, pocztmistrz tegoż miasta, nie chcąc żadną miarą przysiądz Austryi, przymuszeni byli złożyć swoje urzędy: starostwo i z swemi intratami inkorporowane wraz do dominiów, pod zarząd kamery austryackiej, a na pocztmistrzowstwo instalowany niemiec.

Moskwa w Litwie na głowę rekrutuje, a w tak ludnym kraju bez trudności podniesie do 40.000 nowego wojska. Podobnym sposobem Austrya czyni w zabranych nowo na siebie posesyach, 12 regimentów formując i wkrótce spodziewając się mieć je w komplecie.

Przez uniwersały warszawskie determinowane jest Senatus Consilium na 8-my Februarii, sejm więc mógłby być spodziewany na 8-my maja. Dzień dosyć dla Polskiej fatalny epoka konwokacyi.

Piszą mi także, upewniając, że na kongresie bukareskim wyraźnie przez Portę podana jest deklaracya: iż jako wojna niniejsza jest z racyi Polski przedsięwzięta, tak, niżeli wojska cudzoziemskie z niej ustąpią i niżeli upadnie podział, nie Polska o pokoju słyszeć nie chce. Deklaracya ta, jeżeli jest w samej rzeczy uczyniona, spodziewać się należy okrutnej jeszcze i długiej wojny,

[1] Anny Jabłonowskiej.

do której wszystkie potencye, lecz osobliwie do podziału interesowane, niezmierne czynią przygotowania...

Landgraf heski dla zakończenia wesela swego z księżniczką brandeburską de Schwedt zjeżdża osobiście do Potsdamu i już Lipsk przejechał; ta aliancya i oddane w żołd pruski wojsko jego przymusza mnie do ponowienia w przeszłym dyaryuszu zawartych uwag, czyli to nie na skórę Poniatowskiego...

Kossakowski pisze między innemi wiadomościami: że poseł francuski w Wiedniu zaczął często bywać z cesarzem, że według podobieństwa wszelkiego coś knują na króla pruskiego, że kuryerów codzień do Francyi wysyłają... Że ksiądz Georgel, poselski sekretarz, upewnił, iż Anglia króla utrzymuje i że ta kondycya ich łączy z Francyą. Że potencye przeciwne partażowi chcą mieć Polskę i Szwecyę odtąd wzmocnioną, i że chcąc odtąd w Polsce co robić, nie można, jak tylko z królem...

D. 5. Ekspedyowałam dzisiaj niezmierną pocztę, która nie będąc z gatunku tych, co się pisze do folwarkowych podstarościn, naturalnie musiała mnie ekstraordynaryjnie zmęczyć. Pisałam więc prócz listów do niektórych przyjaciół i familii, do księżny de Talmond, [1]) do Elektorowej panującej bawarskiej, [2]) do duchessy de Szulcbach, do Elektorowej saskiej [3]) etc...

D. 6. Wiadomość o wyszłych warszawskich listach cyrkularnych na Senatus Consilium, w których konfederacya cale nie menażowana i to jest pierwszy raz jeszcze, że jej dotknąć odważono się. Kombinując więc wszystkie okoliczności, sejm przyszły, który tak przyśpiesza Warszawa, nie może być z żadnej miary narodowi pomyślny i zdaniem mojem kończyć się chyba będzie na dwóch punktach: 1-o, aby ustalić nową formę rządu w tej części królestwa, która zachowa nazwę Polski, 2-o, aby uznać ważność pretensyi i okupacyi dokonanych przez sąsiednie mocarstwa..

D. 7. Dla dopełnienia miejsca ciekawą z gazety tu łączę obserwacyą: w roku 1661 w pewnem dziele Jana Chrystyana Luniga

---

[1]) Maryanna z ks. Jabłonowskich, księżna de la Trémouille Talmond, córka autora „Skrupułu bez Skrupułu", a stryjeczna siostra Aleksandra Józefa, wojewody nowogrodzkiego.

[2]) Królewna Marya Anna, córka Augusta III., a żona Maksymiliana Józefa.

[3]) Oczywiście do Maryi Antonii, matki Fryderyka Augusta, a nie do jego żony.

znajduje się mowa króla polskiego, Jana Kazimierza, która dziś może stanowić proroctwo. [1])

D. 8. Odebrałam list od księżnej bracławskiej, gdzie także komunikuje terminów listów cyrkularnych: konfederaci są tam traktowani ze wściekłością, że ośmielili się ogłosić interregnum: grożą im. że ci, którzyby recesować się nie chcieli, nie znajdą bezpieczeństwa ani w Polsce ani nigdzie indziej. Rozciąga się też potym z kombinacyą podobnych wyrazów z oświadczeniem chęci do zgody [2]) i z najsroższym teraz więcej jeszcze przez Moskwę dóbr konfederackich prześladowaniem. Donosi dalej, że najpodobniej zgodzonoby się na syna króla sardyńskiego, [3]) ale potrzebaby ten cały przez Austryą kraj zajęty ustąpić dziedzictwem Albertowi. [4]) Dla tak ciężkiej więc powtórnej kondycyi, ani o pierwszej myśleć można.

D. 10. Odebrałam listy od Wielhorskiego, który tylko pisze, że dla niewygotowanych memoryałów dotąd się jeszcze nie widział z Branickim, formując kwestyą, kto ma być pierwszy. Że Saint Pol, [5]) dawno sekretny chargé d'affaires Poniatowskiego, był, upewniając, że skoro się gdzie na trzeciem miejscu obaczą, odtąd Branicki żadnych trudności bywania u Wielhorskiego nie będzie czynił. Że ministeryum wersalskie gniewa się okrutnie za termina do listów cyrkularnych przeciwko konfederacyi zażyte, że to wyma-

---

[1]) Pomijamy tekst „proroctwa", znany z różnych publikacyi, ostatnio z Korzona „Doli i niedoli Jana Sobieskiego", I. 91 sq., gdzie zresztą mowa Jana Kazimierza uległa bardzo oryginalnej a surowej cenzurze. Pierwszy raz została ona ogłoszona po łacinie w II. Klimakterze Kochowskiego w r. 1683, a po polsku w „Swadzie" J. Fr. Sapiehy (Ostrowskiego-Danejkowicza), I. str. 29. Rzecz charakterystyczna, że opinia polska dopiero z trzecich rąk niemieckich dowiedziała się o tych, rzec można, umyślnie zapomnianych przepowiedniach.

[2]) Stackelberg wyrażał gotowość carowej do przebaczenia konfederatom w deklaracyi z listopada r. 1772; Stanisław August — w kraju przez okólnik wzywający senatorów na radę senatu i w Paryżu przez usta Ks. Branickiego; por. Korespondencye St. Aug. Poniatowskiego z Maurycym Glaire, t. I. str. 105, 112.

[3]) O możliwej kandydaturze księcia Chablais, syna Karola Emanuela, mówiono już w r. 1755.

[4]) Królewiczowi Albrechtowi, księciu Sasko-Cieszyńskiemu.

[5]) Karol Jeanroy de Saint-Pol, jeździł z misyą sekretną od króla do Choiseula w r. 1769; wracając, sprzedał podobno sekret rosyjskiemu konsulowi w Gdańsku, widocznie jednak nie stracił zaufania dworu warszawskiego, nie wiedzącego o zdradzie.

wiało Branickiemu, który składał się tylko, że rzecz zaszłą i stałą ciężko odwoływać...

D. 14. Miałam wielki obiad i z balem, gdy atoli przez wzgląd niniejszych stanu naszego okoliczności ta okazałość nie mogłaby iść między zalety moje, winnam eksplikacyą tej tajemnicy. Przez przyjaźń i zażyłość z państwem de Folard, posłem francuskim w Monachium i jego żoną, chciałam wdzięczności mojej dać dowód dla dzieci ich, i tak w samej rzeczy córki ich, tu w klasztorze Św. Barbary edukujące się, dobrawszy im kompanią dalszych dam bawarskich, lecz wszystko dzieci, dla których kompanii w naddatek sprowadziłam kilku chłopców szwajcarów, na edukacyi języków tu będących, ale także dzieci. Obiad cały prawie z mleczna, ciast i fruktów; po obiedzie różne gry dziecinne, nakoniec bal, ale o jednych tylko skrzypcach...

D. 16. Konfirmacya zda się, że już nie odwołana, że więźniowie status, senatorowie nasi, z srogiego w Moskwie aresztu są uwolnieni i są aktualnie w drodze do Warszawy. Podobnym sposobem za interesowaniem się pana Durand oficerowie francuscy, w czasie kapitulacyi Krakowa w niewolę zabrani są, uwolnieni, pod jedyną tylko kondycyą, aby się nigdzie w Polsce nie zatrzymowali. [1])

Krajewski, [2]) instygator koronny, zaniósł manifest przeciwko księciu Sułkowskiemu, wojewodzie gnieźnieńskiemu, o tę partyą, którą podniósł w Wielkopolsce i przywłaszczone tamże rządy. Czego wszystkiego nawet egzystencya razem z manifestem ustała, lubo w początkach jej podnoszenia się zdawało się, iż książę Sułkowski być nie może tylko sekretnym dworu albo wiedeńskiego, albo berlińskiego instrumentem.

D. 17. Byłam na wieczornej kompanii u pana de Contades, z wizytą tę łącząc razem i komplement pożegnania, oddalającemu się stąd do Paryża na kilka miesięcy.

Odebrałam od p. Domańskiego, że familia ściętego rozkazem księżnej wojewodziny wileńskiej [3]) pana Czeszeyki, jako się w przeszłorocznym wspomniało dyaryuszu, wydała pozwy, szukając sprawiedliwości tak okrutnego postępku...

---

[1]) Wiadomość o oficerach francuskich przedwczesna.

[2]) Jan Chryzostom Krajewski (1714—1781), pierwotnie podstoli ciechanowski, poseł na liczne sejmy, jako instygator członek trybunału radomskiego, a potem komisyi skarbowej, kawaler orderu św. Stanisława i Orła Białego, wreszcie kasztelan radomski i płocki.

[3]) Katarzyny z Rzewuskich Karolowej Radziwiłłowej.

D. 18. List Wielhorskiego, którym donosi swoje na trzeciem miejscu, to jest u posła sardyńskiego widzenie się [1]): donosi razem, iż minister [2]) stracił nadzieję, aby Moskwa przez punkt honoru i wiadome sobie przyczyny mogła kiedyżkolwiek przyznać konfederacya za konfederacyą: i że król polski, który nic bez Moskwy pozwolenia nie czyni, mógł przyjąć tę kondycyą: że ciągnie więc tę negocyacyą tylko, aby się ciągnęła, mało jej skutków mając nadziei.

D. 19. Z Warszawy wiadomość, iż Moskwa nowe, jaknajsurowsze wydała rozkazy, aby wszyscy jej nowi wasalowie w osobach składali przysięgę wolności i hołdownictwa. Czartoryscy, woj. ruski i kanclerz, z których pierwszy znaczne dobra dziedziczne, drugi znaczne posyduje w tych częściach starostwa, prosili posła moskiewskiego w Warszawie mieszkającego, aby w ręce jego złożyć mogli jurament, lecz przez niego nie dyspensowani, wybierają się w tę podróż. Roztrząsając tak nagły rozkaz, te konieczne osobistości wymaganie z czasem zbliżającego się Senatus Consilium, nie można nie dostrzegać jakowejś w tem tajemnicy. Albo Czartoryskim Moskwa cale nie wierzy i umyka ich z miejsca i czasu rady, albo im nadto wierzy i oszczędza ich w czasie, gdzieby się koniecznie pokazać musieli bez maski, jeżeli są dość cnotliwymi ojczyzny synami.

Wolność biskupa kamienieckiego ograniczona ma być instrukcyą, i przepisano mu punkta, co i jak ma mówić na przyszłej senatu radzie. Jakoż w rzeczy samej, jeżeli każdego senatora ciekawą jest konduita w tak ciernistym ojczyzny razie, cóż myśleć, jak ciekawa być musi biskupa kamienieckiego, podskarbiego [3]) i senatorów, z czteroletniej niewoli powracających...

D. 23. Głoszą, że trzy potencye współdzielące umówiły między sobą plan przyszłego rządu reszty Polski; wątpić nie można, aby ten nie był absolutny, i aby w podobną umowę dawno nie wchodził Stanisław. [4])

D. 24. Dzień ten poświęciłam na odbieranie wizyt, które dotąd składane mnie były tylko biletami. Jakoż w rzeczy samej dzień

---

[1]) Przypuszczalnie: z Branickim, u Mottaza zresztą brak informacyi o próbach porozumienia między nim i Wielhorskim.

[2]) Książę d'Aiguillon.

[3]) Teodora Wessla.

[4]) Domysł całkiem bezsensowny: trzy dwory właśnie projektowały narzucić Polsce rząd zbliżony do pomysłów Wielhorskiego, do których wypracowania, jak wiemy, przyczyniała się księżna Sapieżyna.

cały i wieczór nie zamknięte drzwi były z przyczyny wchodzących i wychodzących. Dało mi to poznać, jak wiele Strasburg ma w sobie próżniaków, których cała troskliwość, jak dzień nietylko sobie przeciągnąć, ale struć go i drugim. Uczyniłam szczerą refleksyą, czemu mnie tej sztuki edukacya i natura nie dały. Bo cudzoziemka ztąd naturalnie nie będąc tu z niczem związaną, a przecież póki mam pióro i kałamarz nie znam. co się jest skarżyć na długość i tęsknotę, chyba na krótkość czasu...

D. 26. Piszą mnie, że austryacy, nie kontentując się posesyą Kazimierza przedmieścia, już i sam Kraków objęli. [1]) Któreż więc dowody Rzplitej naszej służyć będą, jeżeli ciała najdawniejszych królów polskich, w grobie miasta tego złożone, do wypróbowania posesyi nie są dostatecznemi?

D. 27. Odebrałam list od siostry mojej. Ta, zwyczajną stylu swego słodyczą wzruszywszy najwdzięczniejsze sobie sentymenta moje, dodaje, że z przezorności rady i rezolucyi w Łańcucie [2]) zaszłych niezmiernie jest kontenta, że im szczególnie najszczęśliwszego życzy sukcesu.

Dodaje, iż z pewnej ma wiadomości, że król pruski celem dotąd jeszcze sekretnym, mimo niezmierne uzbrajanie się swoje, fomentuje jeszcze swoją w Polsce konfederacyą, której głową ma być Auguts Sułkowski, objektem zaś landgraf hessen-kasselski, serjo prowadzony do tronu, czyli tylko dla pretekstu pociągnienia tem łatwiej do konfederacyi narodu.

Marszałek zaś litewski donosi tylko, że pakiet od Wielhorskiego do mnie posłany zginał na poczcie, konkludując, że w tak niedobrym publicznych interesów obrocie inna nie zostanie droga nad manifest.

Wyjeżdżałam dnia tegoż na promenadę, którą kontynuować codziennie umyśliłam dla rozerwania czarnej melancholii, od niejakiego czasu mną panującej.

D. 28. Książę wojewoda nowogrodzki, ojciec mój, przysłał przyjacielowi skrypt pod tytułem: „Protestacya szlachcica polskiego przeciwko podziałowi“. Rzecz mocno pisana i wsparta, a lubo mieni autorem skryptu tego jnci księcia Konarskiego, nadto atoli styl ojca mego mi znajomy, by można było pomieniać autorów.

---

[1]) Austryacy wkroczyli istotnie do Krakowa pod wodzą pułkownika Mitrowskiego d. 15. lutego t. r.

[2]) T. j. w Landshucie, na zjeździe konfederackim.

Przysłano mi także kopią recesu Walewskiego, niegdyś marszałka krakowskiego. Najciekawsze oświadczenia, że nigdy nie radził ani chciał bezkrólewia, chociaż sto listów jego pokazać można, że aż groził rekonfederacyą Generalności, jeżeliby bezkrólewia promulgować nie chciała. Charakter tego człeka w przeszłorocznym dyaryuszu obszerniej opisany znajduje się.

D. 29. Dzień ten nic nie ma osobliwego. Zdrowie moje coraz słabsze. Zastępuje pustkę dzisiejszą, wpisując myśl obywatela polskiego w francuskich gazetach publikowaną. A to dla osobliwości stylu i myślenia. Mówi on:

„Dans le désespoir où nous sommes réduits, les patriotes zélés et intrépides conseillent à Sa Majesté et au Sénat d'inviter tous les Polonais à se réunir sincèrement pour prendre enfin le seul parti qui reste, peut-être, à des coeurs sensibles et ulcérés par l'excès de leur infortune, et de leur dire avec l'enthousiasme:

Rassemblons nous dans le pays que nos ennemis nous laissent, rappelons nos compatriotes qui gémissent sous le joug étranger, qu'ils abandonnent leurs foyers dont ils ne sont plus les maîtres et leurs champs que leurs bras ne cultiveraient que pour enrichir leurs oppresseurs; partageons avec eux les biens qui ne nous ont pas été ravis, défrichons ces campagnes que la guerre, la peste et tous les fléaux qui les ont affligés ont changés en déserts. Soyons tous amis, tous freres, n'ayons qu'un intérêt commun, qu'une patrie, et que les differences des religions ne nous servent plus de pretexte pour asservir nos égaux ou pour les égorger. Si nos ambitieux voisins nous poursuivent dans cette retraite, nous combattrons alors pour la liberté de nos personnes, et quand la guerre aura moissonné le dernier des Polonais, nos femmes imiteront celles de Sagonte et s'enseveliront sous les restes fumants de notre patrie infortunée. Que nos ennemis ne remportent de leurs injustices que la honte éternelle d'avoir tenté en vain de nous assujettir.“ [1])

---

[1]) Zachowujemy język rękopisu, nie chcąc przeinaczać dalej myśli autora, które i tak zapewne uległy pewnej przeróbce w przekładzie z polskiego na francuski. Kto był tym obywatelem, trudno zgadnąć. Styl i sposób myślenia podobniejszy do Tadeusza Lipskiego, kasztelana łęczyckiego, niż do Bohusza. Nie ręczylibyśmy jednak i za to, czy nie napisała tego sama księżna pamiętnikarka.

II.

Francya opuszcza sprawę polską. Jeszcze o hołdzie białoruskim. Decyzye Karola Radziwiłła; Bohusz doradcą prawnym. Pogląd na politykę warszawską. Przenosiny do innego mieszkania. Poświęcenie Paca. Przyjazd Zboińskiego. Pułaski w stosunkach z Beniowskim. Wycieczka Sapiehy do Nancy. Wessel pod pręgierzem. Uchwały rady Senatu. Echa „najszlachetniejszych odpowiedzi“ Sołtyka. Wrażenia Sapiehy przywiezione z Nancy. Zabiegi Pułaskiego w Wersalu.

Februarius.

D. 2. List Wielhorskiego donosi ciągnące się wprawdzie, ale zawsze małe co do skutków nadzieje w gabinecie wersalskim. Że minister traktuje go z oziębłością, a Branickiego ze wzgardą. Że Branicki oświadczył się, iż konfederacya przyjęta nawet być może jak konfederacya, ale, pytam się, bez gwarancyi francuskiej co za pewność, co za pożytek i co za bezpieczeństwo? Dodaje, że minister oświadczył się Branickiemu, iż się więcej do interesów polskich mieszać nie chce. [1]) Znakiem to być by powinno, że dwór ten albo już stracił nadzieję rozerwania troistej aliancyi, albo przez sekretne negocyacye wytargował też sobie jakie przyległe posesye i pożytki.

D. 3. Książęta Czartoryscy i brat mój wojewoda połocki [2]), przynajmniej według publicznej wiadomości, z dóbr swoich przez Moskwę zabranych złożyć hołdu nie chcieli i woleli też dobra oddać w konfiskacyą. Jeżeli to jest, brat mój pierwszą więc akcyą uczynił wartą krwi, z której idzie.

Nie tak dla uciechy, jako raczej dla rozerwania melancholii byłam na redutach publicznych. Ale tylko jak spektatorka w loży z królewną Krystyna...

D. 4. Dziś z publicznych wiadomości to mam tylko, że projektowane i wkrótce zbliżające się Senatus Consilium weźmie tytuł walnej Rady, na którą nawet województwa i powiaty posłów swoich posyłać będą. Ta nowa w Rzpltej forma na jaki koniec jest stworzoną, któż nie widzi. Będzie więc Radą Walną, radą trwającą [3]), i nie biorąc imienia konfederacyi, będzie przecież jurysdykcyą, wszystkie gwałty i bezprawia usprawiedliwiającą...

[1]) Por. Mottaz, I. 135.

[2]) A. M. Sapieha, właściwie brat Anny Jabłonowskiej.

[3]) Przepowiednie te się nie ziściły.

Książę wojewoda wileński, trwały w swoich sentymentach, przekładając stratę dóbr wszystkich nad stratę cnoty, chcąc atoli jakokolwiek one uchronić od ostatecznego nie już zniszczenia, lecz z ziemią zrównania, wziął podobno rezolucyą zrzec się dóbr na księcia Hieronima, brata swego, a że ten jeszcze małoletni, więc opieki na księcia Mikołaja, krajczyca litewskiego. Tranzakcye te, potrzebując wiele praktyki w terminach opisu, przysłał sztafetę, zaklinając przyjaciela mego, aby do zakończenia tego ważnego interesu zjechać raczył. Gdy go więc na tę usługę bratu pożyczam, przyjąć muszę zdanie pióra dyaryuszowego.

D. 5. Lubo się przyjaciel zdać pióro oświadczył, kontynuuje się jednak robota z powrotem jego, czyniąc go mojej pracy i zbioru próżnym kopistą.

Tego dnia w samej rzeczy przyjaciel wyjechał do Mannheimu...

D. 17. Powrócił przyjaciel z Mannheimu, nic nie ustanowiwszy w interesie domowym księcia wojewody. Lubo albowiem projekt był już ze wszystkiem umówiony i od aktora z wielką satysfakcyą przyjęty, został atoli w nocy przerobiony, znać przez domowych, którzy w trwającym nieporządku swoje znajdują pożytki, troskliwsi o to, niżeli o istotne dobro pana, któremu służą...

D. 18. Odebrałam z kraju wiadomości, że Moskwa opuściła Częstochowę, na których miejsce weszli zaraz prusacy. Ta wiadomość byłaby ze wszech miar arcypodobną, gdyby nie zachwiał wiary dodatek, że w tejże fortecy ma być garnizon złożony z 600 prusaków i tyluż austryaków, a razem generalna kwatera generałów: Lossowa pruskiego [1]) i Hadik austryackiego... [2])

Tegoż dnia mąż mój wyjechał do Mannheim pretekstem podziękowania za order, bratu swemu dany, w rzeczy zaś samej dla widzenia i zażycia uciech karnawałowych.

D. 19. Odebrałam list od siostry, [3]) w którym donosi mi nietylko ogólne i generalne kraju całego prześladowania, ale nawet swoje osobiste, gdzie ją pozywają różni, wskrzeszając rozmaite pretensye, które zemsta usprawiedliwia, z ochotą. Opisuje także bieg polityki warszawskiej, zawsze z dworami dzielącemi zgodnej i jednomyślnej...

---

[1]) Daniel Fryderyk von Lossow, generał major, od kwietnia 1772 roku dowódzca wojsk pruskich w Polsce.

[2]) Andrzej hr. Hadik, generał kawaleryi, wódz wojsk austryackich w Polsce.

[3]) Anny Jabłonowskiej.

D. 21. Promenada. Wizyty przyjmowane i oddawane. List od męża mego, że przyjęty łaskawie od elektora, [1]) któremu w maskach prezentował się.

List także od księcia wojewody, którym donosi, że rezydent saski w Mannheimie prezentował przysłany sobie rozkaz, aby się widział z księciem i upewnił, że elektor saski bierze na siebie książęcia bezpieczeństwo i indemnizacyą, byleby się z królem i Moskwą [2]) chciał pogodzić. Któremu książę wojewoda odpowiedział, iż straciwszy dla ojczyzny wszystko, nie zostało mu nic nad sławę. Tej tem więcej strzedz musi, że go do równychże powinności i solennie wykonane obowiązują przysiegi. Gdyby atoli elektora jmci saskiego względy nie były próżne, poleca im młodszego brata swego, księcia Hieronima. O podobny wspanialszej rezolucyi przykład ja rozumiem, że i w rzymskiej trudno historyi...

D. 26. Piszą z Polskiej, że na kontraktach lwowskich, na których ordynaryjnie kilkanaście milionów cyrkulujących znajdowało się, w tym roku tylko 24.000 złotych polskich złożono w kancelaryi. To pierwsze skutki nowego gospodarstwa i rządu...

D. 27. Odmieniliśmy mieszkanie nasze, najwięcej z przyczyny, że w pierwszym pokój sypialny miałam nadto smutny i gniły, którego skutki czułam aż na zdrowiu mojem. Obraliśmy stancyą nad rzeką, w prospekcie pięknym i powietrzu bardzo zdrowem. Apartament wspanialszy, porządniej daleko meblowany, stancya dla domowych liczniejsza, wygodniejsza. Cena zaś taż sama, co pierwszego. Mąż mój tegoż dnia stanął z Mannheim.

D. 28. Mąż mój oddawał wizytę panu de Vogné, od którego tegoż dnia na obiad zaproszony. W wieczór z racyi przenosin do nowej stancyi liczną nader mieliśmy kompanią...

Martius.

D. 7. Odebrałam list od marszałka generalnego litewskiego, który w mężnej stale patryotyzmu rezolucyi komunikuje mi intencyi swojej, że odważony aż na ostatnią ofiarę, chce się protestować równie

[1]) Karola Teodora, palatyna Renu.

[2]) Naprawdę dyplomacyi saskiej zależało wówczas na pogodzeniu konfederatów z Rosyą, nie ze Stanisławem Augustem; chciano sobie z tego zrobić zasługę przed Katarzyną i utorować sobie powrót do Polski.

przeciwko potencyom dzielącym, jako wszystkim aktom, któreby zmierzały na aprobacyą postępku tego.

D. 8. Generał Zboiński, [1]) powracający z Paryża, stanął w Strasburgu. Ustną więc najdostateczniej uczynił relacyą, jako ministeryum wersalskie bez najmniejszego żyje projektu, cały naród o wojnie gada, ministeryum atoli milczy; zda się, że dalekie nader do tego podobieństwa; chyba gdyby Szwecya miała być atakowaną, natenczas wojna generalna nieuchronna. Dodał także, że interesa konfederacyi tam najmniejszej nie mają konsyderacyi...

D. 9. Z Zboińskim ranna promenada, obiad i dzień cały. Różne przytaczając anegdoty, których naturalnie z Paryża powracający jest pełen. Czynił relacyą i o Pułaskim, że jest w Paryżu, ale jako żywo nie od ministra sprowadzony, tylko od Bieniewskiego, [2]) niegdyś w komendzie Pułaskiego będącego, teraz w służbę morską francuską przyjętego, na jakąś sekretną ekspedycyą przeznaczonego, awanturą ujścia z Kamczatki i wynalezieniem nowej na Czarnem Morzu drogi wsławionego.

D. 10. Promenada do kanału, gdzie jest machina do polowania dzikich kaczek zrobiona. List powtórny od marszałka generalnego, komunikując kopię pisanego listu od siebie Wielhorskiemu z obligacyą, aby przez podany memoryał ostatniej u ministra wersalskiego na wszystko dopominał się odpowiedzi.

D. 11. Po obiedzie wyjechał przyjaciel do Mannheimu, umówiwszy się z Zboińskim generałem, jadącym do Łańcuta, [3]) że zjedzie się z nim w Baustal...

D. 18. Mąż mój popołudniu odjechał do Nancy; istotnym celem jego podróży jest zobaczyć się z panem de Vioménil i nie spędzać dnia św. Józefa w Strasburgu; wziął z sobą hrabiego Baumgarten...

D. 21. Odebrałam tego dnia list od Baumgartena, który mi pisze, że Vioménila mąż mój nie zastał u siebie, ale w Nancy, że u księcia Lubomirskiego [4]) stanęli, który go upoił za moje zdrowie, i że powrócą we wtorek do Strassburga.

D. 22. Odebrałam list od siostry mojej zrana, która mi pisze, że trzech Sanguszków [5]) razem stara się o wojewodziankę podla-

[1]) Michał Zboiński.
[2]) Mauryccgo Augusta Beniowskiego.
[3]) T. j. do Landshutu w Bawaryi.
[4]) Aleksandra Lubomirskiego.
[5]) Józef, Hieronim i Jan.

ską, [1]) pierwszeństwo zaś odniesie nad braćmi najmłodszy z nich. W cyfrach donosi mi ona, co następuje:

Na sesyi piątkowej gdy ministrom mówić przypadało, dwóch wielkich kanclerzów [2]) i marszałek w. koronny [3]) nalegali w mowach swoich o zapozwanie konfederatów, mianowicie tych, którzy podpisali interregnum. Na te słowa podskarbi wielki koronny tak się uląkł, że głowę zupełnie stracił, gdy więc na niego kolej przyszła, mówić, nie był zdolny, wyjął więc arkuszowy papier z kieszeni, czytać go począł, ale gdy i tego, drżąc, przed sobą nie widział, kilka słów więc przeczytawszy, których nikt nie zrozumiał, zakończył mowę, po której gdy poszedł do Stackelberga, ten o nim powiadał, że go całego drżącego widział. Ta smutna scena mogła się nazwać „Un comique larmoyant“.

Władysław Konopczyński.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Karoliną Gozdzką, córką Stanisława Bernarda G., znanego jurgieltnika Moskwy. Ślub z Janem Sanguszką doszedł do skutku, ale już w r. 1778 pani Karolina rozeszła się z mężem, aby wyjść w r. 1780 za księcia Denasów.

[2]) Ksiądz Andrzej Młodziejowski i książę Michał Czartoryski.

[3]) Stanisław ks. Lubomirski.

Kilka słów o Byteniu i Bazylianach.

(Ciąg dalszy.)

Byteń w XIX. wieku.

W XIX. stuleciu klasztor byteński zasługuje na uwagę pod dwoma względami: był on, jak i w dawnych wiekach, miejscem nowicyatu, a także studyów zakonnych, tak do roku, mniej więcej 1830; następnie po roku 1834 internowano tam Bazylianów i świeckich kapłanów, którzy się wiernie Unii trzymali, stał się więc ten monaster rodzajem karceresu dla tych, którzy nie chcieli popierać i podtrzymywać rozporządzeń Siemaszki, ku obaleniu Unii dążących.

Że nowicyat w XIX. wieku jeszcze tam istniał, to wiemy ztąd, [1]) iż w 1804 r. mieszkało w Byteniu 13 zakonników i 15 nowicyuszów; w r. 1827 [2]) znamy magistra novitiorum O. Benedykta Homolickiego; posiadamy też wiadomości, że wtedy wykładano tam klerykom gramatykę, retorykę i wymowę przynajmniej do pierwszej XIX. stulecia ćwierci; potem to wszystko ustało i w Byteniu przeważnie „pokutnicy" mieszkali.

Bardzo mało znamy przełożonych byteńskich w XIX. wieku. Na początku tego stulecia superyorował tam O. Joachim Doliński, jakeśmy o tem już wyżej wspominali. O nim wiemy tyle tylko, że

---

[1]) D. Tolstoy, Le Catholicisme romain en Russie, Paris 1863, t. I. Annexe 25; Bobrowski, Russkaja unijats. cerkow pri Aleksandrê I., Petersburg 1890, p. 252.

[2]) Curricula vitae Bazyl. prow. litew. z 1827 r., kopia współczesna w ręku piszącego.

w 1797 roku [1]) był spowiednikiem w Wierzbiłowie i wtedy liczył sobie lat 44. a życia zakonnego 24. Jak długo zostawał w Bytenin — niewiadomo. Bezpośrednich jego następców też nie znamy, wiemy tylko, że parochem miejscowym między rokiem 1798—1805 wymieniają O. Hilaryona Zabłockiego, a w 1806 r. superyorem O. Jozafat Kłopotowski. [2]) W połowie 1819 mianowany superyorem O. Klemens Czapliński, [3]). który, zapewne, rządził tym klasztorem do r. 1821.

Bardzo krótko superyorował January Stulgiński: od 1821 do 1822. [4]) Przyszedł on na świat w 1778 roku, pochodził ze szlachty witebskiej, nauki świeckie pobierał w szkołach tołoczyńskich, a wstąpiwszy do Bazylianów 1802 roku, kontynuował je w zakonie, a ostatecznie w Uniwersytecie wileńskim (1804—1808), gdzie otrzymał stopień doktora teologii. Nauczał w różnych szkołach bazyliańskich; wykładał teologię klerykom zakonu swego; z Bytenia powołano go na superyora do Ławryszowa, potem na rektora seminaryum brzeskiego; w 1826 r. obrany na 3 konsultora prowincyi. Siemaszko wcześnie zwrócił uwagę na niego i zdołał go ostatecznie zjednać dla swoich projektów i celów, chociaż nie odrazu: w 1834 r., po skasowaniu klasztoru w Ławryszowie przeniesiono go do Bytenia, potem ciągano po różnych monasterach, nakoniec 1840 r., będąc w Lubarze. też na „pokucie“, poddał się Siemaszce.

Po Stulgińskim był przełożonym, po raz pierwszy, O. Leoncyusz Okołów. Pochodził on ze szlachty litewskiej, ur. c. 1763 r., a mając lat 20. wstąpił do zakonu, w którym się kształcił w naukach właściwych swemu powołaniu, a potem — w Szkole głównej litewskiej, późniejszym Uniwersytecie wileńskim. Uczył następnie w szkołach bazyliańskich i wykładał też rozmaite nauki młodzieży zakonnej z wielkiem powodzeniem. Od roku 1804—1806 prefektował w szkole berezweckiej, następnie do roku 1818 był rektorem seminaryum brzeskiego, od 1822—1824 superyorem w Byteniu, zkąd go powołano na takież stanowisko do Żyrowic. W tych czasach został pierwszym konsultorem prowincyi litewskiej i wizyto-

---

[1]) Wizyta kanoniczna tego klasztoru z r. 1797. manuskrypt w ręku piszącego.

[2]) Kalendarzyk wileński na rok 1807.

[3]) Opisanie dokumentow etc. t. II. p. 713.

[4]) Curricula vitae, ut supra; pamiętniki Siemaszki t. III. p. 58, 531. 552, 557, 577, 609, 625.

wał niektóre klasztory z rozporządzenia wyższej władzy duchownej. [1])

Następcą jego został w Byteniu O. Piotr Szpakowski od roku 1824. [2])

Ujrzał światło dzienne c. 1781 roku, pochodził ze szlachty białoruskiej; do zakonu wstąpił 1798; nauki pobierał w zakonie i Uniwersytecie wileńskim, gdzie otrzymał stopień magistra filozofii; uczył w szkołach bazyliańskich świeckich i duchownych; jak długo zostawał na tem stanowisku — nie wiemy, to jest tylko wiadome, że po roku 1830 O. L. Okołów powtórnie na przełożeństwo do Bytenia zjechał.

Siemaszko, jak się zdaje, nie musiał być bardzo z niego zadowolony i przez Żarskiego starał się skłonić go do dymisyi, ale on tego podania nie uczynił i na początku 1838 roku zastajemy go jeszcze w Byteniu w charakterze przełożonego, [3]) co nas, poniekąd, upoważnia do mniemania, że do ostatnich czasów klasztoru byteńskiego sprawował ten urząd, chociaż deformacya tej siedziby bazyliańskiej już się zaczęła.

Jak wiemy zkąd inąd, to O. Okołów nie był na stronie nowatorów; klasztor byteński (razem z leszczyńskim) nie chciał oddać monstrancyj; była w nim kaplica, bez wrót carskich, gdzie msze odprawiano i czytane miewano; superyor i O. Korewicki tam najczęściej czynni byli. Na początku 1835 gubernator grodzieński donosił konfidencyonalnie Siemaszce, [4]) że Bazylianie byteńscy bardzo niezadowoleni z nowych obrządków, a paroch miejscowy, O. Niewiarowicz, najgłośniej to wypowiada. Takie stosunki nie zmieniły się znacznie jeszcze w latach następnych, chociaż Żarski, mieszkający tam, czynił możliwe starania, aby iść w ład Siemaszce, i to, może, było genezą założenia w Byteniu uczelni dla dyaków podług wzorów danych przez Siemaszkę. [4]) Ale musimy się bliżej zapoznać z Żarskim i o nim trochę obszerniej pomówić.

Jozafat Żarski [5]) pochodził ze szlachty, urodził się w 1779 roku; uczył się w Nowogródku i Borunach od r. 1787—1801, gdzie też nauki ukończył i zaraz wstąpił do Bazylianów, w Byteniu od-

[1]) Curricula vitae superyorów prow. litw., manuskrypt, ut supra.

[2]) Curricula, l. c...

[3]) Pamiętniki Siemaszki, t. III. 144. 350.

[4]) Pamiętniki Siemaszki, t. III. 139, 331..

[5]) Pamiętniki Siemaszki, Curricula vitae, ut supra; Opisanie dokum. archw. mitrp. t. II. p. 916 i inne; Litewskie eparch. wiadomości z r. 1895 Nr. 27—28, 29—30, 31. 34.

bywając nowicyat, profesyę tamże składał w 1802 r. w ręce O. Joachima Dolińskiego, na nauki duchowne wysłany do Żyrowic, na filozofię i matematykę, co ukończył w 1804 r., święcenia kapłańskie w tymże roku otrzymawszy. Od r. 1804—1806 studyował w Uniwersytecie wileńskim fizykę i matematykę, a od 1809—1812 teologię, miał stopień naprzód magistra, a potem doktora filozofii. Nauczał wymowy i języka francuskiego w szkołach żyrowickich, 1806—1809, a potem, 1811—1814, w tychże Żyrowicach wykładał młodzieży zakonnej wymowę i filozofię; następnie parę lat był przy biskupie brzeskim teologiem nadwornym, a pomiędzy rokiem 1816—1818 prefektem szkół żyrowickich.

Na kapitule w Byteniu w 1818 r. obrany na sekretarza prowincyi litewskiej i sprawował ten urząd do r. 1822, kiedy go znowu powołano na konsultora trzeciego i superyora do Wilna w sławnym klasztorze Św. Trójcy; przy końcu zaś listopada 1826 roku awansował na prowincyała; we dwa lata potem został członkiem konsystorza litewskiego; na początku 1830 roku archimandrytą leszczyńskim a potem byteńskim; w pierwszych dniach roku 1831 zastajemy go już w Byteniu, a 12. lutego 1832 roku mianowany członkiem t. zw. kolegium II. departamentu (unickiego) w Petersburgu, za co otrzymywał rocznie 1.200 rubli asygnacyjnych, niezależnie od tego dochody z Leszcza i Bytenia. W r. 1832 polecono mu odbyć wizytacyę wszystkich istniejących wtedy jeszcze monasterów bazyliańskich i zdać o tem sprawę; ale jeszcze przedtem, w maju 1831 r., kazano mu się udać do stolicy Rossyi. Żarski chorował, zwlekał, nie spodziewając się tam niczego dobrego; wreszcie w jesieni tego roku wyjechać tam musiał.

O. Ignacy Proniewicz, sekretarz wtedy prowincyi litewskiej, a mieszkający w Byteniu [1]) pisywał do Żarskiego do Petersburga, donosząc, co się w Byteniu natenczas działo: komunikował mu, że wyższe sfery mitrężą bardzo z udzielaniem pozwolenia na profesye zakonne; że liczba niezadowolonych z nowych porządków

---

[1]) O. Proniewicz był potem superyorem w Antopolu (1833), a po skasowaniu tego klasztoru, wikarym w Torokaniach, zkąd go powołał Siemaszko do zarządu opactwem kobryńskiem, po usunięciu ztamtąd O. Słobodzkiego. Proniewicz nie był w guście Siemaszki, więc go z Kobrynia 1838 r. zabrano; Proniewicz prosił, aby mu pozwolono przyjąć obrządek łaciński: Siemaszko na to się nie zgodził i zesłał go do Kurska, uczyniwszy tam wikarym klasztoru bazyliańskiego. Wytrwał i nie poddał się Siemaszce. Cf. Pamt. Siemaszki t. III. 41, 79, 378, 395, 434, 666.

coraz to więcej rośnie; owi malkontenci pragną w danym razie powrócić do obrządku łacińskiego; niektórym się to już udało: a pewna liczba takich czeka jeszcze na to pozwolenie. Niewesołe to były wieści dla Żarskiego, ale i pobyt w stolicy niebardzo był przyjemny dla niego, zwłaszcza z początku. Ot. co powiada Siemaszko [1]) o przebywaniu Żarskiego w Petersburgu. Rzeczywistym powodem wezwania Żarskiego do stolicy była ta okoliczność, iż generał-gubernator Chrapowicki podejrzywał prowincyała w stosunkach z powstańcami, że jeździł do Warszawy jeszcze przed powstaniem, za co otrzymał naganę. Siemaszko nie miał pewności, czy Żarski miał styczność z powstańcami; jemu się wydawało prawdopodobniejszem, że prowincyał jeździł tam do Nowosilcowa, aby go zjednać dla sprawy Bazylianów. O Żarskim mniemał Siemaszko, że on wcale nie był „fanatykiem". słynął raczej z „wolnodumstwa" i rządził się bardziej własnemi korzyściami, odznaczając się polonizmem więcej, aniżeli religijnością.

Nowosilcow miał wtedy wielkie w stolicy znaczenie; Siemaszko podejrzywał, że Żarski, wypłynąwszy z tej kabały, działać będzie niezawsze z nim zgodnie i z trwogą widział, że Nowosilcow popiera Żarskiego i jego plany względem Bazylianów, których Siemaszko postanowił zgubić i zniszczyć zupełnie. Żarski, znalazłszy tam, nadspodziewanie protektorów, odżył; może czynił im jakie ze swojej strony obietnice, więc sprawa jego wzięła inny kierunek: wytłumaczył się z zarzutów, został członkiem w kolegium i wizytatorem monasterów, jakeśmy to już wyżej zaznaczyli; to bardzo zaniepokoiło Siemaszkę. Wszystko teraz zależało od tego, jak będzie przyjęty raport Żarskiego o klasztorach i jak daleko zajdą pertraktacye z Żarskim, o których nie mówiono Siemaszce i ukrywano to nawet przed nim [2]) czaś jakiś.

Żarski w swojem o monasterach sprawozdaniu przyznawał ich [3]) różne braki, niedokładności, wskazywał sposoby zreformo-

---

[1]) Pamiętniki t. I. p. 71—72 et sqq.

[2]) Siemaszko tak się tem niecierpliwił, że postanowił, aby całą sprawę sparaliżować lub na inne sprowadzić tory, 15. maja 1833 r. uczynić podanie, że sam osobiście pragnie przyjąć panujące w Rossyi wyznanie, ale to nie zostało przyjęte. Cf. Pamt. t. I. p. 74.

[3]) Żarski zgodził się na rozmaite „puryfikacye" obrządków unickich, narzucenie zakonnikom języka rossyjskiego i kultury, myśląc, że tym sposobem uchroni ich od zupełnej zagłady. O tych monasterach donosił: w Różannie zupełny jest upadek, w byteńskim dyscyplina najlepsza, a zwyczajów i obrządków greckich jeszcze nie wprowadzono: w Supraślu — ani dyscypliny, ani obrządków naszych — ani śladu:

wania, ale zawsze kładł nacisk na to, że potrzeba je zostawić, bo korzyść przynoszą dla Cerkwi i państwa, krzewiąc oświatę przez szkoły i własną wiedzę. Na szczęście Siemaszki, a może za jego staraniem, wyższym, decydującym sferom rozumowania O. Jozafata nie trafiły do przekonania i chociaż już przedtem Siemaszko zmiótł dużo klasztorów, postanowiono dalej po tej drodze kroczyć i nawet skasować prowincyałów (w 1832 r.). Żarski więc tracił swoją godność zwierzchnika zakonników. Siemaszko ustawicznie twierdzi, że Żarski odznaczał się ogromną chciwością: rabował kosztowności cerkiewne, obdzierał klasztory, wyciskając z nich ciągle ogromne sumy, postanowił więc uderzyć w tę jego słabą stronę łakomstwa — a po stracie prowincyalstwa dochody się jego zmniejszyły — i uczynić go biskupem sufraganem swoim z ogromnem uposażeniem i tem jego dla siebie i swoich zjednać celów, oddzielić od Bazylianów, własny interes jego odłączyć od klasztorów.

Sakrę Żarski otrzymał w Petersburgu w styczniu 1834 r.: konsekrował go Bułhak przy współudziale Siemaszki i biskupa łacińskiego ks. Pawłowskiego. [1]) bo trzeciego biskupa unickiego nie było wtedy; Żarski został sufraganem litewskim Siemaszki z tytułem biskupa pińskiego; na utrzymanie jego wyznaczono, oprócz klasztoru byteńskiego i leszczyńskiego, jeszcze antopolski i sumy byłych prowincyałów koronnego i litewskiego, które wynosiły c. 40.000 rs. Na rezydencyę przeznaczono mu monaster byteński, chociaż Żarski przenosił pobyt na Leszczu, lecz Siemaszko domagał się tego, aby on mieszkał w Byteniu i kierował ztamtąd wprowadzaniem reorganizacyi, zakreślonej podług planów Siemaszki, bo przed konsekracyą, jak twierdzi Siemaszko, na piśmie oświadczył Żarski, że w danym razie, połączy się z Kościołem panującym w Rossyi. [2]) Jednakże nie musiał się spieszyć biskup piński z wprowadzeniem reform i Siemaszko ustawicznie naglił o to, co znowu drażniło jego sufragana, ale sprawa reform nie posuwała się szybko;

---

w Grodnie obserwa dobra, a rytuał niezmieniony: toż samo w Berezważu, w Torokaniach, na Leszczu i Białymstoku; obrządki greckie wprowadzone: w Tadalinie, Borysohlebsku, Wierzbołowie, Tryhórach, Barze, Humaniu, Antopolu, Onufreju; reszta tych monasterów znajdowała się w jakiemś przejściowem stadyum...

[1]) Ignacy Ludwik Korwin Pawłowski ur. 1771 r.; kapłanem został w 1801 r., biskupem magareńskim i. p. i. i sufraganem kamienieckim potem, mieszkał w Petersburgu, od r. 1841 metropolitą: † 1842 r. w czerwcu.

[2]) Siemaszko podaje dosłownie treść cyrografu, wydanego w tej mierze przez Łużyńskiego i mówi, że Żarski podpisał takiż sam.

Siemaszko był niezadowolony i poirytowany. Charakterystyczna odezwa Siemaszki z r. 1835 w listopadzie: proponował on Żarskiemu, aby pisywał do niego po polsku, ponieważ „jego sekretarz nie umie dobrze po rossyjsku (a zatem biskup piński jeszcze mniej) i wskutek tego czasem gmatwa treść samą listów i doniesień“. [1])

W ciągu roku 1837 naglił episkop litewski bezustanku i zachęcał swego sufragana do pośpiechu w działalności reorganizacyjnej, ale, jak się zdaje, postępowało tam wszystko powoli.

Nakoniec, dnia 25. v. s., stycznia 1838 roku pożegnał ten świat Żarski w Byteniu i w jego pokoju, według świadectwa Siemaszki, [2]) na stole znaleziono dokument, w którym on zaznaczył, że nie miał udziału we wszystkich reorganizacyach w Kościele unickim. Toby może wskazywało, że w biskupie pińskim jeszcze tlała jakaś iskierka uczuć unickich... Przy jego śmierci był w Byteniu jeszcze superyor O. L. Okołów.

Za następcę na miejsce Żarskiego upatrzył Siemaszko człowieka sobie i swoim planom zupełnie oddanego i wypróbowanego. a tym był Michał Hołubowicz, [3]) wiceprezydent w konsystorzu litewskim, soborny protojerej etc., mianowany archimandrytą byteńskim w 1839 r. przy końcu czerwca i w tymże samym jeszcze roku wyświęcony na episkopa wikarego też z tytułem pińskiego, potem piastującego inne godności, ale jego działalność nie jest w zakresie niniejszego opowiadania.

Mówiliśmy wyżej, że w Byteniu umieszczano czasowo, potem dalej pędzono, różnych „epitymistów“, t. j. takich unitów, co się Siemaszce poddać nie chcieli i szli za głosem sumienia.

Z tych był tu O. Wiktor Basiacki, gorliwy unita, serdecznie kochający swój zakon. Jakiś czas piastował on urząd superyora w Wilnie u Św. Trójcy; potem się naraził Siemaszce, który go ciągał po różnych monasterach, myśląc, że go tym sposobem „nawróci“, był więc czas jakiś i w Byteniu około r. 1838; w roku następnym spotykamy go w Kursku, w klasztorze bazyliańskim czasowym, dla wyznawców urządzonym; wytrwał do końca. [4]). Ró-

---

[1]) Pamiętniki, t. III. p. 236.

[2]) Pamiętniki Siemaszki, t. III. p. 113.

[3]) Michał Hołubowicz uczył się w sławnych szkołach w Swisłoczy; celującym bywał tam uczniem; szkoły tam ukończył w 1823 r. i wstąpił do seminaryum głównego w Wilnie, gdzie lat 5 przebywał, ze stopniem doktora teologii studya ukończył.

[4]) Pamt. Siemaszki, t. III. p. 44, 51, 64, 142, 178—179, 226, 229, 413, 487, 583.

wnież w jego ślady poszli O. Onufry Fałkowski [1]), w 1841 r. w Zahorowie na Wołyniu gnębiony, ale, ostatecznie, zwycięzca; O. Gerwazy Hryncewicz [2]) w 1840 r. z Bytenia zesłany w głąb Rossyi; O. Tytus Iliński [3]) tąż samą drogą podążył; O. Arseniusz Wokulski [4]) też wyznawca. Inny los spotkał Buczyńskiego, archimandrytę grodzieńskiego, jakiś czas opierającego się i w Byteniu też pokutującego, [5]) ale nie wytrzymał ostatecznie: poddał się Siemaszce i wziął honoraryum; Fulgenty Dewojna, [6]) „nawracany“ w Byteniu, Torokaniach, w Lubarze, również nie wytrwał i w 1841 roku 60 r. honoraryum odebrał. [6])

Do liczby wyznawców należy O. Samuel Czarnorucki, który umarł we Lwowie i wyszły tam jego wspomnienia [7]) bardzo cenne.

W tych wspomnieniach taki znajdujemy o Byteniu ustęp:

„... W kilka dni przybyłem do klasztoru byteńskiego r. 1839 d. 5. nowembra, do pierwszej klasy klasztoru pokutnego [8]) według naznaczenia Siemaszki. Znalazłem tam współkolegów cierpienia, podobnymże dekretem skazanych jak i ja — na chleb i wodę. Było nas jedenastu Bazylianów i jeden ze świeckich księży, także opat grodzieński Buczyński, któremu dozwolono chodzić do stołu, nam zaś pokutnikom ks. wikary codziennie posyłał chleb i wodę każdemu do stancyi...“ Sławny wyznawca O. Eliasz Andruszkiewicz też czas jakiś w Byteniu pokutował.

Nakoniec Siemaszko referował w październiku 1839 roku, że w Byteniu we mszy opuszczają już „filioque“ i zaczęto się modlić za synod, Unia więc tam zniszczoną została. [9])

Smora.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

[1]) Pamt. S., t. III. 50, 469. 474, 533. 553.

[2]) Pamt. S., t. III. p. 454, 481, 482, 494.

[3]) Pamt. S., t. III. p. 454. 481. 494.

[4]) Pamiętniki Siemaszki, t. III. 481. 482, 492, 502.

[5]) Pamt. Siemaszki, t. III. 40. 43, 44, 51, 160, 171—172, 404, 533, 557.

[6]) Pamt. Siemaszki, t. III. 128, 469, 479, 533, 557.

[7]) Z notatek ośmdziesięcioletniego starca Litwina-Unity. „Przegląd lwowski“ 1875, 100, 148, 283, 488, 577, 629, 689, 765.

[8]) W Torokaniach był — drugiej klasy, potem następowały monastery w Lubarze, Tryhórach, Włodzimierzu i Zahorowie.

[9]) Pamiętniki Siemaszki, t. III. p. 477.

Afryka rzymska.

Rys dziejów kultury rzymskiej w Afryce północno-zachodniej.

(Ciąg dalszy.)

Amfiteatr w Thysdrus jest największą ruiną rzymską w północno-zachodniej Afryce, bardzo charakterystyczną dla zrozumienia potęgi kulturalnej starożytnego Rzymu. Wzniesiony za czasów Septimiusa Sewera w epoce najświetniejszego stanu materyalnej kultury w Afryce rzymskiej, jest jakby jej symbolem.

Kolonizacya rzymska wśród tych stepów południa jest jednym z najwspanialszych objawów potęgi światowej Rzymu. Nie była faktem, mającym tylko geograficzne znaczenie, ale jednem ze zjawisk dziejowych najważniejszych, jednem z tych, które wywarły i dziś jeszcze wywierają wpływ znaczny na postęp cywilizacyjny i na losy ludzkości całej. [1])

Rzut oka na mapę kolejową dzisiejszej Belgii, Anglii lub niektórych okolic cesarstwa niemieckiego w porównaniu z takąż mapą Rossyi lub krajów skandynawskich, nasunąć musi jasny wniosek, że sieć dróg żelaznych w dzisiejszym świecie cywilizowanym pozostaje w prostym stosunku do cyfry zaludnienia i intenzywności komunikacyi. Podobny rzut oka na mapę dróg rzymskich w Algeryi i Tunisie [2]) podobny wniosek nasunąć musi w odniesieniu do

---

[1]) Toutain, Cités de la Tunisie, str. 11. Bardzo trafne uwagi o znaczeniu kolonizacyi rzymskiej wypowiada także Schulten, Das röm. Afrika, str. 26—28. „...Die Spanier haben christianisiert, die Franzosen zivilisiert, dagegen die Römer kolonisiert, wie die Engländer.“

[2]) Np. na doskonałą mapę, dołączoną do VIII. tomu C. I. L.

gęstości zaludnienia i żywości komunikacyi w Afryce rzymskiej. Sieć tamtejszych dróg starożytnych znamy wcale dokładnie [1]) tak z głośnej wiedeńskiej „tablicy Peutingera“ i z „Iterinarium Antonini“, jak z kamieni milowych (często z bardzo zajmującymi napisami) i resztek dróg samych, gdzieniegdzie bardzo obfitych. Od Tripolisu aż poza dzisiejszą granicę Marokka wszystkie miasta nadbrzeżne były związane bitym gościńcem. [2]) Dobre drogi łączyły też wszystkie ważniejsze miejscowości wnętrza kraju ze sobą tudzież z portami nad morzem Śródziemnem. Tam ku wybrzeżu zdążały wszystkie; morze było dla nich tem, czem Rzym dla dróg Italii lub Lugdun dla dróg gallickich. Morze je wiązało z Italią i światem całym. Szczególnie obfitowała w drogi prowincya prokonsularna, zwłaszcza dorzecze rzeki Bagradas (dziś Medżerda); nie brak ich było jednak i w odległych stepach południa; niektóre wiodły do oaz w Saharze, jak np. do Biskry lub nad słone jeziora (szotty) w południowym Tunisie.

W komunikacyi z Saharą pierwszorzędną musiało odegrać rolę wprowadzenie wielbłąda jako środka komunikacyjnego. W dawniejszych czasach wielbłąd znany był w świecie starożytnym tylko w Azyi po Arabię, podczas gdy w Egipcie i wogóle w całej Afryce znano tylko konia. Zamiana nastąpiła w ciągu trzech pierwszych wieków naszej ery: z jej początkiem dopiero wchodzi, można powiedzieć, do historyi wielbład „libijski“ i koń „arabski“. Pierwsza wzmianka o wielbłądzie w Afryce znajduje się dopiero w dziejach wojny dyktatora Cezara w Afryce; jeżeli jako łup wojenny wymieniają historycy obok pojmanych oficerów nieprzyjacielskich także 22 wielbłądów króla Juby, to była to niezawodnie w owych czasach w Afryce rzadkość nielada. Tymczasem w IV. wieku wodzowie rzymscy powszechnie domagają się od miast trypolitańskich tysięcy wielbłądów dla przewozu wody i żywności. Widocznie w międzyczasie znacznie się w tym kierunku zmieniły stosunki komunikacyjne w Afryce. [3])

Mapa Afryki starożytnej z innej jeszcze obserwacyi podobny, jak poprzednio, wniosek o gęstości zaludnienia tego kraju w sta-

[1]) Porówn. zwłaszcza cały II. tom pomnikowego dzieła Tissota, „Géographie comparée...“ tudzież Toutain'a, Cités de la Tunisie w ustępie p. t. Le reseau routier, str. 133—143.

[2]) Porówn. wyżej str. 54.

[3]) Szczegóły o wielbłądzie jako środku komunikacyjnym podane podług Mommsena, Röm. Gesch. V. str. 654 i Tissota, Geogr. comparée I. str. 349 nn.

rożytności wysnuć pozwala. W dzisiejszych nazwach miejscowości Algeryi i Tunisu setki razy powtarza się wyraz „henszir". [1] Henszir znaczy tyle co „ruina", [2] a także tyle co „farma", „mały folwark". Wspólność tej samej nazwy na oznaczenie dwóch różnych pojęć tłumaczy się tem, że Arabowie z dawien dawna się przekonali, iż w sąsiedztwie ruin rzymskich znajduje się zwyczajnie woda, a z nią grunt dobry pod uprawę. Powtarzanie się tej nazwy „henszir" [3] jest z jednej strony dowodem obfitości ruin w Afryce rzymskiej, z drugiej strony pośrednim dowodem gęstości jej zaludnienia. [4] Afryka rzymska była bardzo silnie zaludniona nie tylko w porównaniu ze stanem dzisiejszym, lecz także w porównaniu z zaludnieniem pierwszego lepszego państwa zachodniej Europy. W środkowym Tunisie nie brak okolic, w których miasta i osady były tak gęsto rozmieszczone w starożytności, jak dziś w sąsiedztwie którejkolwiek stolicy europejskiej. [5] Równie gęsta sieć miast jednak nie pokrywała Afryki całej.

Stosownie do wyższego stopnia rozwoju kulturalnego, było ich znacznie więcej na terytoryum dzisiejszego Tunisu, niż w Numidyi i nad Syrtami; jeszcze mniej w Mauretanii. Rozmieszczenie ich jest nierównomierne; zależy w znacznej mierze od warunków fizycznych okolicy i od klimatu. W niektórych częściach kraju są miasta i drobne nawet osady stosunkowo rzadko rozmieszczone: w innych spotyka się miasto jedno obok drugiego. Niema miast na górach i wśród leśnych obszarów; niewiele ich w okolicach poświęconych wyłącznie uprawie oliwki, bo wyłączna produkcya oliwy możliwa tylko w wielkich latyfundyach, a wielka własność nie sprzyja rozwojowi miast; w pustyni spotyka się je tylko tam, gdzie jest woda, to jest pod cieniem palm oazy; natomiast w okolicach sprzyjających uprawie zboża, powstają, rozwijają się i rosną miasta, bo pola uprawne mają wielu właścicieli i mogą wyżywić znaczną cyfrę ludności. [6]

---

[1] W skróceniu Hr.

[2] Tego samego wyrazu używają Arabowie na oznaczenie starej kobiety.

[3] Porówn; Schulten, Das röm. Afrika, str. 37—38.

[4] W „indeksie" 1-ej części VIII. tomu C. I. L. powtarza się 195 razy jako początek nazwy miejscowości, w których znaleziono napisy rzymskie.

[5] Porówn.: Toutain. Cités de la Tunisie, zwłaszcza ustęp p. t. „Répartition géographique des cités africaines; raisons de cette répartition", str. 30—45.

[6] l. c. str. 45.

Były miasta w Afryce już przed przybyciem Rzymian, lecz było ich niewiele. Chcąc zostać trwałymi panami tej ziemi, w własnym interesie starali się Rzymianie o pomnożenie ich liczby. Tubylcy, mieszkając na wsi — chociaż przywiązani do roli, chociaż stawszy się z nomadów osiadłymi gospodarzami, — mieli przecież zbyt częsty kontakt z barbarzyństwem i łatwo mogli doń powrócić. Dla mieszkańca miasta było to rzeczą trudniejszą. Żyjąc w kole cywilizowanem, doznawał dobrodziejstw cywilizacyi, coraz żywiej się z nią zespalał i o wiele rychlej ulegał całkowicie jej wpływowi.

Jest przeto rzeczą zupełnie naturalną, że Rzymianie staraniami troskliwemi otaczali miasta w Afryce. Wiemy tak z napisów jak z doniesień starożytnych autorów, że pod ich rządami niektóre z dawnych miast urosły w znaczenie. Tak np. Thysdrus (El Dżem) było w połowie I. w. przed Chr. małem miasteczkiem (Bell. Afric. c. 97); musiało być później miastem rozległem i gęsto zaludnionem, skoro zbudowano tam amfiteatr o rozmiarach olbrzymich. Ale założyli też cały szereg miast nowych. Powstały wielkie miasta na miejscu dawnych wiosek lub nawet w okolicach poprzednio zupełnie pustych.

Nie stało się to nagle, uderzeniem różdżki czarnoksięskiej. Miasta nowe powstawały a stare rosły powoli, w wolniejszem tempie niż to, które towarzyszy powstawaniu i wzrostowi miast w dzisiejszej francuskiej Algeryi, a które często wyrzucają rządowi francuskiemu niecierpliwi krytycy jego kilkudziesięcioletniej gospodarki w tym kraju. [1])

Kartagina, wskrzeszona przez Grakchów, bardzo powoli się dźwigała. Pomponius Mela [2]) — w epoce Klaudyuszów — powiada, że jest „słynniejsza przez swój nieszczęsny upadek, niż stan obecny“; i trzeba było dopiero lat szeregu, by się stała „cudem świata“, jak ją nazywa Aurelius Victor. [3])

Plinius starszy wspomina, że za jego czasów były w Afryce — z bardzo nielicznymi wyjątkami — wyłącznie „castella“, to zn. forty wojskowe (Hist. Nat. V. 1 sqq.). Dopiero za Antoninów,

---

1) Porówn.: Boissier, L' Afrique romaine, str. 176.

2) I. 7, 34: (Carthago) nunc populi Romani colonia, olim imperii eius pertinax aemula, iamquidem iterum opulenta, etiam nunc tamen priorum excidio rerum quam ope praesentium clarior.

3) De Caesaribus 40; (Alexandro) victo Maxentius Carthaginem, *terrarum decus*, simul Africae pulchriora vastari, diripi incendique iusserat.

w tym kwitnącym okresie rzymskiego cesarstwa, wzrosła liczba miast, ich rozmiary i ludność. Napisy pozwalają śledzić stopnie rozwoju miast afrykańskich. Zrazu są małemi osadami (*vici*), powstałemi ze związku okolicznych gospodarzy rolnych. Rosnąc, przekształcają się w miasta (civitates)[1]) które w miarę rozwoju otrzymują z kolei prawo municypium a potem kolonii.[2]) Cesarze udzielają im w miarę zasług różnych przywilejów; aby okazać za nie swą wdzięczność dla władcy, imię miasta otrzymuje częstokroć dodatek, przypominający imię cesarza np. Aurelia, Antoniniana, Alexandriana. Za dynastyi Sewerów miasta afrykańskie dochodzą do szczytu swego rozwoju.

Miasta rzymskie, gdziekolwiekbądź je się spotyka, są tak do siebie podobne, jak gdyby jeden i tensam budowniczy plan ich układał. Jak ustrój społeczny i polityczny miast rzymskich ma wszędzie tę samą podstawę, tak samo miasta wszędzie mają tensam plan w zasadzie, — o ile naturalnie nie pozostawał pod topograficznym wpływem dawnej osady, — aczkolwiek nie tak przesadnie schematyczny jak plany nowoczesnych miast, zakładanych w XIX. wieku w Algeryi przez Francuzów.[3]) Dwie proste ulice przecinają się pod kątem prostym. W punkcie przecięcia znajduje się ognisko życia w mieście, forum, otoczone kolumnadą; przy niem ratusz i główne świątynie. Jeżeli miasto jest „kolonią", znajduje się w niem i „kapitol" za wzorem stolicy. Niektóre — szczególnie uprzywilejowane — kolonie mają na forum posąg satyra t. zw. Marsyasa. Posąg taki stał na forum w Rzymie; istnienie posągu Marsyasa w mieście prowincyonalnem dowodziło — przynajmniej w tym kierunku — jego równouprawnienia ze stolicą. Obie główne ulice, cardines, tworzą krzyż. Na końcu każdego z czterech ramion tak powstałego krzyża stoi brama monumentalna. Nie są to — ściśle rzecz biorąc — bramy miasta, bo leżą częstokroć w obrębie murów, czasem poza murami miasta. Wznoszono je na wzór łuków tryumfalnych stolicy: ztąd ich nazwa „arcus triumphales", choć właściwie łukami „tryumfalnymi" nie są, boć tryumf mógł się odbywać tylko w Rzymie. W miastach afrykańskich są

[1]) Powstają one z łączenia się kilku małych sąsiednich „vici" w nowy organizm, któryby można porównać z *communes mixtes* dzisiejszej Algeryi.

[2]) Obszerny traktat w Toutaina, Cités, str. 321—342 p. t. „Les divers types de cités romaines: coloniae, municipia, civitates".

[3]) Jak np. typowe miasto Sidi bel Abbes, na południe od Oranu, przy linii kolei żelaznej, wiodącej do Tlemsenu.

główne ulice miasta częstokroć dalszym ciągiem wielkich dróg wojskowych.

Nieraz podróżny po długim marszu wśród skwaru afrykańskiego słońca spostrzegał w oddali owe strzelające w górę budowle jako pożądany kres podróży.

Najsłynniejsze ruiny rzymskiego miasta w Afryce znajdują się w południowej Algeryi w Timgadzie, staroż. „Thamugadi“. Obfitsze posiadają chyba Pompei; zresztą żadne inne pod względem obfitości i stanu zachowania mierzyć się z niemi nie mogą na całym obszarze rzymskiego państwa. W całej pełni zasługuje Timgad na miano afrykańskich Pompei. Jak Pompei przysłaniał przez 17 wieków popiół Wezuwiusza, tak Timgad przykrywał przez kilkanaście wieków całun piasku pustynnego. Na ruinach Timgadu ma się przed oczyma obraz całego miasta rzymskiego z trzeciego wieku po Chrystusie, ma się przed oczyma świat starożytny cały, żywy, jak w Pompei. Trzeba tylko szczypty wyobraźni, by ożywić ulice i portyki, teatr i świątynie. O złudzenie może nawet łatwiej niż w Pompei. Setki turystów, uzbrojonych w nieodłączną czerwoną książkę i w binokle, uganiających po ruinach w towarzystwie natarczywych aż do uprzykrzenia „autoryzowanych“ i nieautoryzowanych przewodników i czyhających na napiwek „custodi“, psują nastrój w Pompei. nie przyczyniają się do pogłębienia wrażenia. W Timgadzie nie spotyka się po największej części ani żywej duszy na ruinach. Kamienie śpią snem wiekowym; nikt im snu nie przerywa. Chyba wyjątkowo przesunie się Arab lub nieruchomo. jak posąg, siądzie na kamieniu. Możnaby go wziąć za Rzymianina: biały burnus przypomina do złudzenia rzymską togę. [1])

Nieco dokładniejsze przyjrzenie się ruinom Timgadu ułatwi zdanie sobie sprawy, jak wyglądały inne miasta Afryki rzymskiej. Nasuwałoby się pytanie, dlaczego wybieram właśnie Timgad dla przedstawienia typu miasta. Gdy mowa o mieście Afryki rzymskiej, przychodzi na myśl przedewszystkiem Kartagina, nie ta punicka, którą zwycięski Scypio kazał zburzyć tak doszczętnie, by w niej kamień nie pozostał na kamieniu. ale potężne półmilionowe miasto z epoki cesarstwa, współzawodniczące ze stolicą rozmiarami. przepychem i zbytkiem. obok Aleksandryi najbogatsze, największe i — dodajmy — najbardziej zepsute miasto prowincyonalne. po Rzymie największe i najludniejsze w łacińskiej połowie państwa. Kartagina była istotnie drugim Rzymem, życie jej mieszkańców — kopią ży-

---

[1]) Porówn. Schulten, Das röm. Afrika. str. 61.

cia mieszkańców stolicy. Ztąd nie można uważać Kartaginy za typ miasta prowincyonalnego, a jej obraz [1]) nie mógłby się odnosić do całego szeregu innych miast prowincyonalnych. Takie natomiast, jak Thugga (dziś Dugga) lub Sufetula (dziś Sbeitla), [2]) Theveste [3]) (dziś Tebessa) lub Lambaesis, [4]) a zwłaszcza Thamugadi do skreślenia obrazu życia afrykańskiego miasta nadają się znacznie lepiej, gdyż, nie odgrywając wybitniejszej roli w dziejach, przedstawiają się bardziej typowo. Zresztą i stan zachowania ruin w Timgadzie, bez porównania lepszy, niż w Kartaginie, z której

---

[1]) Skreślić go nietrudno na podstawie wyczerpującego dzieła Aug. Audollent'a p. t. „Carthage romaine", Paris 1901, str. XXXII + 834 (wyszło jako 84-ty tom wydawnictwa „Bibliotheque des écoles françaises d'Athènes et de Rome"). Na tytule piękne, doskonale zastosowane motto z Tassa „Jerozolimy wyzwolonej" (XV. 20):

Giace l'alta Carthago; appena i segni
Dell' alte sue ruine il lido serba.
Muoiono le città, muoiono i regni;
Copre i fasti e le pompe arena ed erba.

Polecenia też godna instruktywna ilustrowana książka ojca R. P. Dalattre p. t.: Un pelerinage aux ruines de Carthage et au Musée Lavigerie par ...De la Société des Peres Blancs, correspondant de l'Institut. 2-ème édition. Lyon, Impr. Ponces 1906. 4-o, str. 128. Na końcu książki, dołączono spis wydawnictw „Ojców Białych" (Pères Blancs), którzy na wzgórzu Byrsa staroż. Kartaginy mają swój klasztor i seminaryum duchowne, obok katedry św. Ludwika, dominującej nad całą okolicą. Tematem ich prac (w r. 1896 podano 149 tytułów) są wykopaliska, dokonywane na gruncie Kartaginy. Obok konwentu Ojców Białych znajduje się Musée Lavigerie, zawierające jedyny w swoim rodzaju bogaty zbiór starożytności punickich. Muzeum ma nazwę głośnego kardynała Lavigerie (zm. w r. 1892), zasłużonego protektora badań historycznych i archeologicznych. Wykopaliskami kieruje od lat trzydziestu ojciec Delattre, który wyniki swych studyów ogłasza w całym szeregu czasopism i osobnych publikacyj.

Bardzo poważnem uzupełnieniem zbiorów punickich, mieszczących się w Musée Lavigerie, jest muzeum w La Valette na Malcie, gdzie — w ostatnich zwłaszcza latach — zgromadzono wiele zabytków punickich, pochodzących z Malty. Porządkuje je wzorowo kustosz muzeum dr. Tomasz Zammith, nie szczędzący rad i wskazówek zwiedzającym.

[2]) Znajdują się oba w środkowym Tunisie; na miejscu jednego i drugiego ruiny bardzo obfite.

[3]) Z doskonale zachowaną, nietkniętą niemal zębem czasu świątynią Minerwy, jakby kopią głośnej „Maison Carré" w Nîmes, i łukiem Karakalli.

[4]) Zob. niżej.

kamieni budowano miasto Tunis, [1]) zachęca do skreślenia obrazu afrykańskich Pompei.

Miasto Thamugadi [dawniej nazywano je Thamugas, ale napisy stwierdziły nazwę ponad wszelką wątpliwość] znajduje się w południowej części starożytnej Numidyi, sto kilometrów (w linii powietrznej) wprost na południe od Cyrty (dziś Constantine, [2]) stolica jednego z trzech departamentów, z jakich się składa dzisiejsza Algerya), u stóp Auresu (staroż. mons Aurasius) na płaskowyżu wznoszącym się na 1100 metrów nad powierzchnię morza. Od Sahary oddziela wyżynę wspomniane pasmo Auresu (wysokości naszych Tatr). Płaskowyż, na wsze zresztą strony otwarty, odznacza się ostrym klimatem: przykrą zimą [3]) i skwarnem latem.

---

[1]) Taki sam był los całego szeregu innych miast nadmorskich; dość przytoczyć przykłady takich miast, jak Saldae (dziś Bougie), Rusicade (dziś Philippeville), Hippo Regius (dziś Bône), Hippo Diarrhytus (dziś Bizerte), Hadrumetum (dziś Sousse) etc., które swym materyałem budowlanym zasiliły miasta na ich gruncie lub obok nich powstałe.

[2]) Dzisiejsza Constantine żadnych pomników architektonicznych starożytnej Cyrty nie posiada. Niektóre napisy i przedmioty — przeważnie do codziennego użytku służące — znalezione w mieście i okolicy, umieszczono w miejscowem muzeum. Dla miłośnika starożytności miasto budzi interes przedewszystkiem przez swe położenie obronne, czyniące z Cyrty twierdzę iście nie do zdobycia. Przypomina położeniem do pewnego stopnia Kamieniec Podolski. Wznosi się na skale o nierównej powierzchni i rozmiarach niewiększych, jak dwa kilometry kwadratowe. Opływa ją (w dwóch trzecich) wartki strumień Rhummel. Prostopadle spadają ku niemu ściany (przeszło 100-metrowej wysokości) skały, na której miasto spoczywa. Nie trudno zrozumieć, że Jugurta zdobyć go nie mógł pomimo wielkich wysiłków (Porówn. Sall. Bell. Iug. 23,1; „neque propter loci naturam Cirtam armis expugnare potest, vallo atque fossa moenia circumdat, turris extruit,.) Było to możliwe tylko od strony południowo-zachodniej, z innej dostęp wprost wykluczony, chyba po stumetrowej długości linach, któreby ktoś w oblężonem mieście na skale umocował. Poddaje je Adherbal dopiero pod groźbą wygłodzenia (tamże 23. 2 i 26. 2) i za namową Italików, bo było już wtedy „multitudo togatorum“ (tamże 21. 2) w Cyrcie. Od czasów numidyjskich królów i kartagińskich rządów w kraju 80 razy Cyrtę oblegano. Ostatnie straszne oblężenie przebyła w r. 1836 i 1837. Po bohaterskiej śmierci generałów Damrémont i Perrégaux i wielu tysięcy wojska francuskiego pod jej murami została zdobyta przez generała Valée 13. października 1837. Kto ją posiada, ma w swem ręku klucz do całej Numidyi.

[3]) W pierwszej połowie lutego roku 1909 pole ruin miejscami było śniegiem przyprószone; rankiem szron można było zauważyć.

Chcąc się dziś z Konstantyny dostać do Timgadu, trzeba kilkanaście mil odbyć koleją w kierunku południowym do miasta Batny (110 km. dalej na południe znajduje się oaza Biskra, rzyms. Vescera), następnie zaś końmi 38 km. w kierunku wschodnim gościńcem, który przez Lambezę (twierdza rzymska Lambaesis) wiedzie do Khencheli (w staroż. wielkie miasto Mascula), a w dalszym ciągu do Tebessy (staroż. Theveste). Ostatnią część podróży (2½ km) przebywa się nędzną kamienistą drożyną. Przebywszy mały potok — z wodą w zimie tylko lub wczesną wiosną — stajemy przed ruinami, których widok sowicie wynagradza trud podróży. Las kolumn, wysoki łuk, w oddali widniejący, każą zapomnieć, żeśmy wśród piasków pustyni. Po chwili dostajemy się na starożytną drogę rzymską: po obu jej stronach mnożą się i rosną ruiny. [1])

---

[1]) Nie zapomnę póki życia owego kontrastu, jaki się przedstawił mym oczom na ich widok w porównaniu z nędzą i zaniedbaniem kilkunastu namiotów i uwijających się między nimi brudnych, dygocących od zimna Arabów, którzy właśnie przybyli na tygodniowy targ czwartkowy na wielbłądy, konie, muły i barany z wzgórz sąsiedniego Auresu. Na przestrzeni niemal 400 kilometrów kwadratowych wokoło niema dziś ani wioski nędznej: przed wiekami wrzało tu życie w całej pełni. Obok miejsca ruin dziś domek kierownika wykopalisk, nędzne szałasy robotników arabskich, zajętych odkopywaniem starożytnego miasta, i lichy hotel, w którym podróżny znajduje przytułek: przed wiekami rozbrzmiewał w tem miejscu gwar dostatniej kolonii. Dziś nawet pocztowy dyliżans nie zawadza o Timgad; przed wiekami łączyła go ożywiona, uczęszczana — jak ślady kół na płytach starożytnych dowodzą — droga wojskowa z Tebessą z jednej, a sąsiednią Lambezą z drugiej strony.

Kierownikiem wykopalisk jest p. Jerzy Barry, były kontrolor cywilny Tunisu [jest to stanowisko urzędowe administracyjne, odpowiadające mniej więcej naszemu „staroście", tylko z szerszym zakresem władzy; jest 20 takich kontrolorów cywilnych w dzisiejszym Tunisie], sześćdziesięcioletni, dobrze zakonserwowany mężczyzna, wybitnej inteligencyi i głębokiego wykształcenia — z pierwszego wejrzenia czyniący raczej wrażenie hreczkosieja, niż uczonego. Dziwnym zbiegiem okoliczności łączą go z naszym krajem żywe i serdeczne wspomnienia z lat młodzieńczych: ojciec pana Barry był właścicielem wielkich obszarów lasowych w Nadwórniańskiem przed laty czterdziestu. Z tych czasów pamięta p. Barry Nadwórnę, Stanisławów, Lwów i inne miasta Galicyi, dokąd młodzieńcem trzykrotnie przybywał w ciągu wakacyj. Polskiego języka, który przed laty trochę rozumiał, nie pamięta prócz kilku wyrazów. Pędzi życie iście pustelnicze (jest wdowcem — ma dwie córki zamężne). W Timgadzie bowiem oprócz niego mieszka jedynie kustosz muzeum i wykopalisk p. Rottier, właściciel hotelu z ro-

Gdybyśmy znali Thamugadi tylko ze wzmianek u autorów starożytnych, dzieje jego dałoby się ująć w kilka wierszy druku. Nie było to miasto bynajmniej wybitne: na dzieje Afryki rzymskiej w epoce cesarstwa wpływu bezpośredniego nie wywarło w żadnym kierunku. Pisarze rzymscy bardzo rzadko wymieniają jego imię: wyjątkowo spotkać się z niem można u geografów i u pisarzy kościelnych przy sposobności opisu prześladowań, sporów religijnych lub soborów. Zresztą milczą o niem zupełnie pisane źródła starożytne pierwszych czterech wieków naszej ery. Dopiero historyk wojny z Wandalami, Prokopius, [1]) poświęca mu krótką wzmiankę, która rzuca światło na sposób, w jaki zniszczało i powód, dla którego ruiny są tak dobrze zachowane: za zbliżeniem się wojsk bizantyjskich górale z Auresu zniszczyli doszczętnie Thamugadi, nie chcąc, by je zajęli nieprzyjaciele. [2]) Mimo to przybyły wojska Belizara, zajęły spalone miasto i jakiś czas tu mieszkały, a nawet zbudowały kościół i fortecę. Prawdopodobnie jednak nie odbudowano miasta zniszczonego. Właściciele spalonych domów nie powrócili, a kiedy garnizon bizantyjski wyniósł się z Thamugadi, nie było w okolicy innych mieszkańców, jak Berberowie, ukryci w swych górach. Kraj opustoszał. Nikt nie odczuwał potrzeby budowania nowej osady z materyału dawnego miasta. Nie tknęli ich nowi panowie kraju, Arabowie. Resztki dawnych budowli, które ucierpiały zapewne także od trzęsień ziemi, jakie dopełniły dzieła zniszczenia, przysypał piasek, niesiony przez sirocco z pustyni. Trzeba tylko podnieść piasek i ziemię, która przykrywa ruiny, by je odsłonić. Komisya „Pomników historycznych" (Des Monuments historiques) uczyniła bardzo rozumnie, poświęcając przez szereg lat znaczną część swych funduszów na odkopywanie

dziną i kilkorgiem służby i zawiadowczyni poczty. W „sezonie" t. j. w marcu i kwietniu, tudzież w jesieni wpadnie czasem turysta, zdążający do Biskry, jak po ogień na chwilę na pole ruin. Co czwartku przybywa kilkudziesięciu Arabów na targ tygodniowy. Oto całe urozmaicenie życia „inspektora pomników starożytnych Timgadu i Lambezy" (tak brzmi jego tytuł urzędowy), którego miałam sposobność poznać jako gościnnego gospodarza i wytrawnego przewodnika wśród ruin miasta starożytnego.

[1]) Historyk grecki, który towarzyszył Belizarowi w jego wyprawach (527—547); um. r. 558.

[2]) Procop., de Bell. Vand. II. 13: Ἀλλὰ καὶ πόλιν Θαμούγαδιν, ἣ πρὸς τῷ ὄρει ἐν ἀρχῇ τοῦ πεδίου πρὸς ἀνίσχοντα ἥλιον πολυάνθρωπος οὖσα ᾤκητο, ἔρημον ἀνθρώπων οἱ Μαυρούσιοι ποιησάμενοι ἐς ἔδαφος καθεῖλον, ὅπως μὴ ἐνταῦθα ᾖ δυνατὰ ἐνστρατοπεδεύσασθαι τοῖς πολεμίοις.

Timgadu. Prowadzono prace bardzo zręcznie do końca roku 1880. Kierował nią przez lat siedm architekt i archeolog Edmund Duthoit, następnie — po przerwie kilkuletniej — od r. 1892 Albert Ballu, [1]) od lat kilku wreszcie prowadzi ją Jerzy Barry. Wykopaliska opisano wzorowo w pomnikowem dziele p. t. Timgad, une cité africaine sous l'empire romain par E. Boeswillwald, R. Cagnat et Alb. Ballu, ouvrage publié par les soins de la commission du nodr de l' Afrique et accompagné de plans et dessins, exécutés par le Service des Monuments historiques de l' Algérie.“ Paris, Leroux 1905. — gr. 4-o. — (str. XXII + 362, oprócz mnóstwa rycin i planów w tekście dodano osobno dwa plany i 43 tablic). [2]) Odsłonięto dotychczas ruiny najważniejszych budynków miasta i znaleziono przeszło 150 napisów; niemal każdy z nich przynosi jakiś szczegół, rzucający światło na dzieje wewnętrzne miasta, jego rozwoju i jego budowli.

Przybywając do Thamugadi z Lambezy, wjeżdżało się do miasta przez łuk tryumfalny. Jestto najlepiej zachowany zabytek starożytny w Timgadzie, a należy do najbardziej zajmujących tego rodzaju budowli, jakich znaczna liczba przechowała się w Afryce. [3]) Zbudowany z białego wapienia, miał około 12 metrów wysokości. [4])

Jak łuk Sept. Sewera w Rzymie, ma trzy przejścia: środkowe dla wozów i jezdnych, dwa boczne dla pieszych. Fasada przyozdobiona jest czterema kolumnami marmurowemi o korynckich głowicach. Nad przejściami dla pieszych, znacznie niższemi od środkowego, znajdują się 2 niższe, ujęte w 2 kolumny mniejsze. Były

---

[1]) On też jest autorem doskonałej publikacyi p. t. „Les ruines de Timgad“, w Paryżu 1897, która w r. 1903 otrzymała tom uzupełniający p. t. „Les ruines de Timgad. Nouvelles découvertes“, tudzież zwięzłego „Guide de Timgad“, Paris, Leroux 1897. — Obie książki są opatrzone w dobre ilustracye.

[2]) Korzystam poniżej z tej bogatej w treść publikacyi podobnie jak z barwnego opisu Boissiera (Afrique rom. str. 175—220).

[3]) Porówn. instruktywny artykuł P. Graefa w Baumeistra Denkmäler III. str. 1865—1899 s. v. Triumph- und Ehrenbogen. W Afryce zachowało się 54 pomników tego rodzaju, więcej, niż gdziekolwiek indziej na obszarze państwa rzymskiego (w Rzymie 10, w reszcie Italii 20, we Francyi 14, w Niemczech 1, w Hiszpanii 6, w Azyi i innych krajach 20; razem 71 wobec 54 afrykańskich. Do najciekawszych należy łuk tryumfalny Karakalli w Tebessie).

[4]) Dzisiejszy tego zabytku stan nie pozwala jej zupełnie ściśle określić.

w nich posągi, zapewne osób, należących do rodziny cesarskiej. Posągi takie spotyka się wielokrotnie w Timgadzie.

U stóp łuku znaleziono ułamki marmurowej tablicy, umieszczonej na architrawie; napis jej w niewielu lapidarnych wyrazach głosi, że „cesarz Nerva Trajan Augustus Germanicus, syn boskiego Nerwy, arcykapłan, po raz czwarty wyposażony władzą trybuńską, po raz trzeci będąc konsulem, ojciec ojczyzny, założył kolonię Thamugadi za staraniem 3-go legionu; Lucius Munatius Gallus piastował właśnie godność legata i cesarskiego namiestnika.“ [1]) Ze słów przytoczonych wynika jasno, że w 100-nym roku naszej ery cesarz Trajan, który był nim od 2 lat dopiero, zdecydował się na założenie miasta między Lambezą a Maskulą. Na miejscu, w którem powstało nowe miasto, prawdopodobnie istniała już poprzednio warownia rzymska z oddziałem wojskowym. Przełęczy w Auresie strzegły pilnie rzymskie wojska. W sąsiedztwie Timgadu znajduje się taki przesmyk 3-kilometrowej długości; strzegła go, podobnie jak innych, rzymska załoga. Ale widocznie z początkiem rządów Trajana sądzono, że tubylcy-rabusie otrzymali już odpowiednią naukę i że niema obawy napadu z tej strony, że więc można tu założyć miasto otwarte. Zbudował je trzeci pułk cesarskiej piechoty, który od początku naszej ery utrzymywał ład w Afryce i miał jej bronić aż do epoki Dyoklecyana. Żołnierz rzymski był nietylko dzielnym szeregowcem w boju: budował mosty, zakładał gościńce, budował domy, pałace, świątynie bogów, umiał się równie dobrze obchodzić z motyką i kielnią, jak z pilum. Niezawodnie w sąsiedniej twierdzy Lambaesis nie brak było inżynierów, geometrów, rzemieślników wszelkiego rodzaju, — zapewne i architektów. Prace w nowem mieście prowadzono bardzo szybko i energicznie. Mamy dowód, że w r. 117, w r. śmierci Trajana główne budowle, wokół forum się znajdujące, były już skończone; pomimo tego pośpiechu nie były przecież niedbale i nietrwale wzniesione, skoro po 18 stuleciach pozostały po nich tak obfite resztki.

Minąwszy łuk tryumfalny, znajdujemy się na głównej ulicy miasta, Decumanus maximus, którą odsłonięto na długości kilkuset metrów. Jest to arterya szeroka, szersza od głównych ulic w Pompei. Tłumaczy się to łatwo tem, że miasto powstało wedle nowego planu, na wolnej przestrzeni, że mu w rozwoju zupełnie nie przeszkadzały dawne budowle.

[1]) C. I. L. VIII. 2355.

Ulica, którą w tej chwili idziemy, jest równocześnie częścią gościńca, wiodącego z Lambezy do Theveste. Ponieważ droga ta łączyła znaczne miasta, prowadziła przez okolicę uprawną i ludną, ruch na niej panował niezawodnie ożywiony. Na płytach bruku widać silnie wyżłobione ślady kół. Po obu stronach ulicy był chodnik zarezerwowany dla przechodniów, którzy się zapewne z zajęciem przyglądali ruchowi, panującemu na ulicy; tego rodzaju dystrakcya jest również dzisiaj jednym z objawów życia w małem mieście. Portyk, którego kolumny znaleziono i ustawiono na dawnem miejscu, chronił przechodniów od żaru słonecznego zupełnie podobnie, jak to dziś czynią arkady w Mantui lub Kremonie, dzisiejszej Brescyi czy Padwie. Odsłonięto i ustawiono na miejscu cały szereg kolumn, należących do wspomnianego portyku. Znaleziono też resztki 2 studni przy tej ulicy. Podróżny poił przy basenie spragnione konie; kobiety przychodziły z dzbanami po wodę. Na zewnętrznem kamiennem obramowaniu studzien widać ślady silnego zużycia. Zasilała je woda, sprowadzana z gór sąsiednich wodociągiem, którego resztki można śledzić na przestrzeni kilku kilometrów. Dziś wodociągu niema, to też w lecie, kiedy zupełnie wysycha sąsiedni potok, kwestya zaopatrzenia się w wodę dla garstki tamtejszych mieszkańców przedstawia trudność nielada.

Zbliżając się tą ulicą ku forum, po lewej stronie ulicy widzimy wcale obszerną salę kwadratową, której przeznaczenie łatwo zrozumieć: były tu publiczne wychodki. Przy jednej ze ścian sali znajdowały się umywalnie. Wzdłuż trzech innych było 25 siedzeń z otworami. Jedno od drugiego oddzielone rzeźbionym delfinem: można się było oń oprzeć. Były przepłukiwane wodą, która wraz z nieczystościami zachowaną rynną spływała do kanału.

Dr. Stanisław Homme.

(Dokończenie nastąpi.)

Kultura przedhistoryczna Podola galicyjskiego.

(Ciąg dalszy.)

Oryginalne zapatrywanie na kwestyę, czem są owe pokłady gliniane, wypowiedział archeolog rosyjski E. v. Stern, który dokładnie zbadał zabytek taki w miejscowości Petreny, koło miasta Bielec w Bessarabii.[1]) Biorąc pod uwagę masowo zgromadzone na jednem miejscu naczynia, urny i ślady ognia z jednej, jak brak ogniska i bezsprzecznych odpadków kuchennych z drugiej strony, stwierdza stanowczo, iż odkryty w Petreny pokład nie może być uważany za pozostałość po osadzie, lecz stanowczo jest miejscem grobowem i ofiarniczem. Równocześnie nie wyklucza istnienia obok i resztek siedzib mieszkalnych. Do celów zaś pogrzebowych kopano w ziemi dół prostokątny 1 do 2 m. głębokości, gliniaste dno jego ubijano mocno i gładzono, a niekiedy czerwoną ochrą malowano. Dla nadania większej mocy ścianom bocznym, wypalano je nieco ogniem. Prostokątną tę budowlę glinianą, wzmacnianą częstokroć palami i plecionką z chrustu, nakrywano z góry pokryciem z ściśle przylegających do siebie pniaków, dźwigających od zewnątrz pokład gliny ubitej. Z jednej strony budowli całej zostawiano oczywiście otwór, zawalany płytą kamienną. W podobny „dom zmarłych" składano urny z popiołami członków jednej rodziny, jednego związku rodowego lub klanu. Zwłoki spalano najprawdopodobniej na zewnątrz budowli, a zebrane kości niedopalone i popioły zbierano do urny, którą stawiano w „domu zmarłych", gdzie odbywały się też stypy i libacye, a także i ofiary na ognisku. Po dokonaniu obrzędu pogrzebowego zamykano budynek płytą

[1]) Stern E. v. Die „prämykenische" Kultur in Süd-Russland. Trudy XIII. arch. Sjezda w Jekaterynosławie. Moskwa 1907. Tom I, str. 53—95.

kamienną do chwili, kiedy śmierć nie zabrała następnego członka rodziny.

Przypuszczenia powyższe E. Sterna podaliśmy umyślnie, celem wykazania, jak najrozmaitsze zdania istnieją co do zagadkowej kwestyi grobowisk z epoki ceramiki malowanej. Badania przyszłe wykażą zapewne, iż owe pokłady gliniane istotnie są resztkami budowli, ale najpewniej, odgrywających rolę grobów pewnego rodzaju, chociaż równie prawdopodobne jest, iż niektóre z nich służyły jako domostwa mieszkalne, lub osady przemysłowe. W ten sposób okazałoby się, iż wszystkie domysły, wyrażone na ten temat, zawierają pewną prawdę, chociaż autorowie ich stanowczo utrzymywali, iż pokłady gliniane są tylko albo resztkami domostw, albo grobowisk. Prawda zaś tkwi zapewne po środku.

Kiedy A. Sznajder po raz pierwszy natrafił w niektórych miejscowościach Podola na fragmenty ceramiki malowanej, tudzież na współczesne im figurki gliniane — uważał je za wyroby rzymskie. Osadę w Koszyłowcach (pow. Zaleszczyki) uważał za obóz rzymski, a znalezioną tam figurkę za podobiznę rzymskiej Flory.

A. Kirkor, który po raz pierwszy zaznajomił się z ceramiką malowaną w wspomnianych powyżej Wasylkowcach i Boryszkowcach, widział w niej wpływy etruskie — następnie zmienił przekonanie, uważając ją za wytwór pochodzenia greckiego.

Ossowski po badaniach swych i po rozglądnięciu się w charakterze ceramiki i jej zdobnictwa, powiada: „Wszystkie cechy sztuki garncarskiej właściwej grobom cegłowym, a szczególnie terrakotowe naczyń wypalenie i tembardziej jeszcze przyozdobienie onych ornamentyką malarską z motywami rysunkowymi pochodzenia greckiego, służą za niemałoważną wskazówkę, że ludy grzebiące swych zmarłych w tego rodzaju grobach, już w neolitycznym okresie swej kultury stykać się musiały z współczesną im wyższą kulturą grecką, od której przywłaszczyły sobie tę, wyjątkową między ludami wieku kamiennego, postępową umiejętność ceramiczną. Zetknięcie to stać się mogło za czasów najdawniejszej kolonizacyi greckiej, co według wszelkiego prawdopodobieństwa przypadać może na czasy, poprzedzające wiek VII. przed erą Chrystusową". [1])

[1]) Zbiór wiad. do antr. kraj. 1895. XVIII. str. 28.

Epokowego znaczenia odkrycia H. Schliemanna w Troi, Mykenach, Tirynsie i Orchomenos pozwoliły jaśniejsze wyrobić sobie zdanie o kulturze naczyń malowanych dorzecza Dniestru i dlatego też wyjaśnienia odnośne następcy G. Ossowskiego — prof. Demetrykiewicza, całkiem już stanowczo określają kulturę tę jako ściśle związaną z mykeńską w starszej jej fazie rozwojowej. Prof. Demetrykiewicz zaznacza, iż w Mykenach odkryto dwa typy ceramiki: starszy z ornamentami malowanymi matowo i młodszy z malowaniami, dokonanemi rodzajem ciemniejszego pokostu lśniącego. Otóż galicyjskie naczynia powinowactwo wskazują tylko z ową ceramiką mykeńską starszego typu z malowaniami, dokonanemi farbami matowemi. [1]) Dlatego też ceramikę tę galicyjską nazwano archaiczno-mykeńską, t. zn. wyprzedzającą, właściwą kulturze mykeńskiej, ceramikę z malowaniem lśniacem. Takie też przekonanie wypowiedział o niej i dr. K. Hadaczek, który z badań kultury archaiczno-mykeńskiej na ziemiach naszych uczynił najulubieńsze swe studyum. Jeszcze przed własnemi badaniami wykopaliskowemi mówi, iż centra tej kultury obejmowały dorzecza Dniestru, Dniepru, dzisiejszą Bukowinę i Rumunię. Charakteryzując zaś analogie, zachodzace między jej zabytkami a mykeńskimi, (zwłaszcza w starszej ich fazie rozwojowej) uważa je za dowód istnienia jednej, szeroko rozprzestrzenionej wschodnio-europejskiej, przeważnie neolitycznej kultury, która około trzeciego tysiąclecia przed Chr. miała swe ogniska nad Dnieprem, w Małej Azyi, w Grecyi i jej archipelagu. Kultura ta znalazła w drugiem tysiącleciu najdoskonalszy wyraz w bujnej, przeważnie bronzowej fazie mykeńskiej, której w latach 1300—1100 położyły kres wędrówki Dorów i innych plemion greckich. [3])

Na ważne kwestye, związane z kulturą archaiczno-mykeńską na terytoryum Podola, rzuciły sporo światła ostatnie odkrycia i po raz pierwszy umiejętne i systematyczne badania na miejscu neolitycznej osady we wsi Koszyłowcach (pow. Zaleszczyki). Jeszcze około 1878 r. natrafił tu Antoni Sznajder na czerepy gliniane, które uważał za resztki wyrobów rzymskich, nie znając właściwego ich pochodzenia. Wiadomość podana przez niego pozostała niewykorzystana do czasu, kiedy dzięki przypadkowi zabytki koszyłowie-

---

[1]) Demetrykiewicz Wł. dr. Materyały antrop.-arch. 1900, IV., str. 109—113.

[2]) Hadaczek K. dr. Ślady epoki t. zw. archaiczno-mykeńskiej w Galicyi wsch. Wiadomości numizm.-arch. 1901 nr. 2—3.

ckie zwróciły uwagę prof. R. Kaindla z Czerniowiec. Prof. Kaindl ograniczył się jednak do pobieżnego tylko przeglądu zabytków i na podstawie wiadomości zebranych osobiście lub przez właścicieli wsi, ogłosił sprawozdanie o dokonanych odkryciach ciekawych, zilustrowanych rysunkami przedmiotów niektórych, zwłaszcza wyrobów glinianych. Ponieważ jednak zabytki tej miejscowości bynajmniej nie zostały wyczerpane, a owszem okazało się, iż są one wprost nieprzebrane, więc zbadaniem ich naukowem zajął się dr. K. Hadaczek. Jego to badaniom zawdzięczamy bliższe poznanie wspaniałych wykopalisk koszyłowieckich, mogących śmiało równać się z bilczeckiemi, a przewyższającemi je nawet bardziej doskonałemi formami, tudzież wyżej stojącą techniką ceramiczną. Badania przeprowadził dr. K. Hadaczek w latach od 1908 począwszy do roku 1912, w którym ogłosił tymczasowe sprawozdanie z prac, uwieńczonych wspaniałym rezultatem naukowym. Obecnie znajduje się już w druku obszerna publikacya, ozdobiona licznemi tablicami, ilustrującemi typowe znaleziska koszyłowieckie, opracowana nadzwyczaj sumiennie i rzeczywiście *lege artis* przez dra Hadaczka, który w postaci jej ofiaruje nauce, nie tylko naszej, rzecz istotnie cenną nadzwyczaj.

Pięcioletnie badania prof. Hadaczka na łanie dworskim, zwanym „Obóz", wykazały, iż osada odkryta miała charakter czysto przemysłowy. Dokładne przekopy dwu pasów długich, około 20 m. szerokich, nie odsłoniły żadnych śladów zrębów chat, ani też nie pozwoliły odszukać ubitych podłóg, lecz ukazały pod cienką warstwą humusu silną warstwę złomów gliny palonej rozmaitej grubości, ciągnącą się szerokim pasem po całym terenie, pod którą występowały na jaw charakterystyczne piecyki okrągłe, a miejscami wybrane w glinie doły. Ziemia, usłana gruzami, była zazwyczaj na głębokości 20—30 cm. dość miękka, przemieszana bryłkami węgla, popiołu, gliny palonej i rozmaitymi przedmiotami z epoki neolitycznej, a więc skorupami naczyń malowanych lub pokrytych rytą ornamentyką, narzędziami z kamienia i kości, terrakotowemi figurkami, ciężarkami od krosien i wrzecion, płytami żarnowemi, muszlami skójek, ślimaków, tudzież pokłutemi kośćmi zwierząt rozmaitych.

Na starannie przeszukanym jednym pasie terenu, 20—25 m. szerokim, a 68 m. długim, wystąpiło na jaw 18 piecyków w tak gęstem i nieregularnem zgrupowaniu, że wykluczają z góry myśl, jakoby były zwykłymi piecykami domowymi. Najczęściej przytrafiały się w głębokości 40—85 cm., a dwa z nich były głębiej

ukryte. Z piecyków zachowało się tylko okrągłe dno płaskie, 3—5 cm. grube, przeszło 1 m. szerokie, ulepione z gliny i silnie wypalone. Było ono zazwyczaj nałożone na trwałej posadzce, zrobionej ze skorup kilku naczyń rozbitych lub płytek kamiennych, a u głębszych pieców mieściło się bezpośrednio na zeskrobanej twardej glinie terenu. U jednego, zachowanego lepiej piecyka, brzegi dna podnoszą się do góry i przechodzą w rodzaj sklepienia, które można kopułkowato uzupełnić. Konstrukcyjne podobieństwo piecyków koszyłowieckich do pieców osady garncarskiej koło Niesłuchowa (powiat Kamionka strum.), tudzież okoliczność, że w jednym piecyku, odkrytym dalej na zachód od pasa badanego, ukazał się zbiór kilkudziesięciu ciężarków glinianych od krosien, wypalonych, lecz z pieca jeszcze nie wyjętych, pouczają nas, że mieszkańcy tej osady trudnili się na wielką skalę fabrykacyą naczyń glinianych, ciężarków od krosien i wrzecion, a także terrakotowych figurek, o czem znowu świadczą setki ich fragmentów, rozrzucone w rozmaitych warstwach po całym terenie. Przemysłowa ta osada istnieć musiała co najwięcej przez kilka wieków, lecz charakter jej jest jednolity.

W świetle wykopalisk koszyłowieckich i bilczeckich nabiera wyrazistości obraz kultury neolitycznej w dorzeczu Dniestru. Ściśle rzecz biorąc, jest to już epoka bronzowo-kamienna, gdyż obok powszechnie panujących wyrobów z kamienia gładzonego znalazły się w osadzie koszyłowieckiej i w jaskini bilczeckiej nieliczne przedmioty z miedzi, bronzu i srebra, a na niektórych narzędziach kamiennych, kościanych i naczyniach widać wyraźny zamiar imitowania przedmiotów metalowych, które drogą handlu musiano już częściej sprowadzać z południa w obszary północne.

W osadzie koszyłowieckiej znaleziono liczne buły krzemienne i kamienie rzeczne, z natury podobne do narzędzi, które tworzyły materyał zapasowy, podatny do wyrobów. Na jednej głowni maczugi i na niewykończonym toporze widać dziury wiercone, nie doprowadzone do końca. Noże krzemienne mają kształt długich wiórów albo liścia wierzbowego, u dołu płasko obciętego, albo są zaopatrzone w starannie obrobioną rączkę. Skrobacze są krótkie i dwusieczne, u dołu łukowo obcięte. Rzadziej znajdowały się w osadzie topory gładzone lub obtłukiwane, sporządzone z krzemienia, granitu lub miękkich i lekkich kamieni, charakterystycznych dla Podola. Mają one zazwyczaj kształt klina podłużnego z wąską główką, lecz jeden fragment topora gładzonego z granitu jest zgrabnie uformowany według lanych wzorów bronzowych. Osobną grupę

tworzą niskie topory klinowate z główkami szerokiemi. Na uwagę zasługuje gładzik kamienny i tłuczki krzemienne.

Charakterystyczne są również wyroby kościane z rogu jeleniego lub koźlego, które obejmują topory z wierconą dziurą, starannie obrobione noże i sztylety, szydła, rylce, gładziki i skrobacze. Z płytek kościanych wyrabiano wieszadełka, z których jedno ma kształt przodu łba wolego. Ogniwami naszyjników były kosteczki podłużne, zaopatrzone w rowki poprzeczne.

Z metalu znaleziono w osadzie koszyłowieckiej dwa szydła bronzowe, paciorek w kształcie otwartego skrawka blaszki bronzowej, srebrną spiralkę złamaną, w bilczeckiej zaś jaskini „Werteby“ dłuższy pręt miedziany, czworogranny bronzowy brzeszczot sztyletu w kształcie liścia wierzbowego, sierpowo wygiętą brzytwę i dwa paciorki.

Najobfitszych materyałów archeologicznych dostarczyła osada koszyłowiecka w zakresie garncarstwa, w którem pielęgnowano współcześnie kilka technik różnych.

Pierwszą grupę tworzą nieliczne naczynia szare, ręcznej roboty, wykonane z gliny przemieszanej piaskiem, pokryte ubogą ornamentyką rytą. Najczęściej pojawiają się tu misy o płaskich denkach lub głębokie misy osadzone na czterech nóżkach, rzadko dzbanki i kubki z uchami, tudzież amfory.

Drugą grupę ogólnie panującą, stanowią naczynia bladopomarańczowe, szlachetnego wyrobu, ozdobione bogatą ornamentyką jedno- i wielobarwną, wykonaną w trzech kolorach zasadniczych: czarnym, czerwonym i białym z licznymi odcieniami. Formy naczyń dadzą się sprowadzić do kilku typów głównych, rozpadających się na liczne odmiany z dalszemi urozmaiceniami swych kształtów. W zbiorze koszyłowieckim występują w licznych odmianach, wywołanych rozmaitością profilów ścian misy, zewnątrz i wewnątrz malowane, oryginalne nakrywki, kubki bez uch, między któremi jeden ozdobiony jest wypukłymi guziczkami, inny zaś podłużnemi wypukłościami, rozmieszczonemi w pośrodku brzuśca, małe garnuszki z uszkami, flasze, z których jedna ma ucho w kształcie głowy byka, druga zaś pięć okrągłych wypukleń na brzuścu, większe garnki bezuszne, przysadkowate, z krótką szyjką do środka wgniecioną lub brzuchate, opatrzone w szyję smukłą, dalej amfory z uszkami, osadzonemi przy szyjce lub na środku brzuśca, naczynia podstawkowe pojedyncze lub zdwojone, z których jedno ma miseczki osadzone na nogach ludzkich w miejscu słupków okrągłych, naczynia — jedno w kształcie figurki ptaka, osadzonego na

słupku, drugie zaś w kształcie stojącego wołu z dwiema głowami, w końcu duże naczynia rezerwoarowe.

Bogactwo kształtów podnosiły także rozmaicie uformowane ucha, które imitują bądź sutki kobiece, bądź tworzą motyw półksiężyca, bądź zastąpione są głową wołu, barana lub koziorożca.

Piękność jednak tych naczyń polega głównie na obficie użytej dekoracyi barwnej, która najczęściej tworzy na naczyniach horyzontalne fryzy, podzielone na mniejsze pola liniami lub pasami. Zazwyczaj używane było pod ornament kolorowy naturalne tło naczynia, następnie białe lub czerwone, rzadziej wreszcie czarne.

Niezbyt obfity jest w zasadzie zbiór zastosowywanych ornamentów linijnych; linie proste, równolegle biegnące, pęki krótkich kresek równoległych, linia falista i zygzakiem biegnąca, koło, łuki — często półksiężycowe, spirale i krzyżyki równoramienne — oto główne motywy zdobnicze. Z motywów roślinnych znalazło w ornamentyce pełne zastosowanie tylko drzewko w szematycznym rysunku; na jednem naczyniu z jaskini bilczeckiej pojawia się także pęd powoju falisto wijący się, zaopatrzony w krótkie pędy boczne z listeczkami na końcach. Częściej natomiast wybierał garncarz neolityczny najbardziej powszednie typy ze świata zwierzęcego. W ceramicie koszyłowieckiej występują sylwetki wołu, ptaka i małego zwierzątka, w ceramice bilczeckiej wołu, konia i pieska; trafiają się i figurki ludzkie, szkicowane na amforze z Koszyłowiec i na płytce kościanej z Bilcza.

Trzecią grupę ceramiczną tworzą nieliczne fragmenty naczyń wyrobu szlachetnego, ornamentowane bujnymi motywami rowkowanymi.

Większe niemal znaczenie dla obrazu kultury neolitycznej niż ceramika, posiadają figurki terrakotowe, przedstawiające ludzi i zwierzęta, odkopane w Koszyłowcach w takiej ilości, w jakiej nie przytrafiały się dotychczas w żadnej z osad znanych. Powierzchnia ich jest często malowana, przyczem barwne ornamenty służą przeważnie do zaznaczenia ozdób pewnych lub stroju, a rzadko posiadają charakter czysto dekoracyjny.

Najczęściej pojawiają się figurki żeńskie w pozie stojącej z torsem, osadzonym na jednej nóżce (słupku), lub na dwu wyprostowanych, zesuniętych stopami do siebie. Do rzadkości należą figurki żeńskie, siedzące. Na wielu okazach oznaczone są barwą lub rylcem naszyjniki krótkie i dłuższe, tudzież wstążki spadające na plecy. U niektórych figurek przedstawione są na nogach wysokie trzewiki i podwiązki, u jednej włosy rozpuszczone. Na dwóch

fragmentarycznych figurkach widać na przodach oddane fartuszki skórzane. Na szczególniejszą uwagę zasługują dwie figurki, które posiadają głowy dokładnie w szczegółach modelowane, tudzież jedna figurka siedząca z rękami starannie wyrzeźbionemi.

Rzadko trafiały się w osadzie koszyłowieckiej figurki męskie. Na kilku zachowanych egzemplarzach przebiega skośnie przez płaską pierś — ryta na oznaczenie rzemienia, na którym zawieszony jest jakiś przedmiot na lewym boku. Z większej figurki męskiej pochodzi starannie rzeźbiony fragment główki w hełmie, z innej noga z modelowanym, półwysokim bucikiem.

W licznych egzemplarzach zachowały się też figurki zwierzęce, malowane. Przedstawiają one najczęściej wołu z rogami rozłożystymi lub krótkimi, a rzadko zwierzęta inne, jak konia, barana, owcę, świnię, psa i kozła.

Wymienione znaleziska, analogiczne zresztą do innych pochodzących z osad kultury naczyń malowanych, wskazują, iż mieszkańcy Koszyłowiec z końca epoki kamiennej osiągnęli wysoki stopień kultury, trudniąc się rolnictwem, hodowlą zwierząt domowych (figurki ich z gliny), uprawiając z mistrzowstwem różne gałęzie garncarstwa, mieszkając w chatach wygodnych i posiadając już rozwinięte wierzenia religijne (figurki bóstw żeńskich). Jednem słowem, kultura licznych na Podolu osad z ceramiką malowaną, wskazuje na ludność bardzo inteligentną i o wiele przewyższającą pod tym względem ludność krajów innych w Europie. Swiadczy ona o bujnej cywilizacyi związanej z kulturą grecką epoki przedmykeńskiej (3000 przed Chr.). Na tej kulturze wyrosła następnie kultura królewska Grecyi, a także cała środkowa Europa ulegała wpływom ztąd płynącym. Dokładniejsze przeprowadzenie analogii z innemi stacyami europejskiemi, rozwiązać będzie mogło ogromnej wagi pytanie, czy osady tego typu, rozrzucone gęsto na wielkim obszarze połudn.-wschodniej Europy, przypisać należy protoplastom Greków, czy też innym do sztuki uzdolnionym plemionom z Grekami doby królewskiej spokrewnionym. [1])

---

[1]) Hadaczek K. dr. Osada przemysłowa w Koszyłowcach z epoki eneolitu. Studya do początków cywilizacyi w połudn.-wsch. Europie (referat). Sprawozdania Akademii umiej. Kraków 1912, nr. 9, str. 2—7;

Janusz B. Stanowisko Koszyłowiec wobec kultury neolitycznej Galicyi wsch. „Na ziemi naszej“. Lwów 1910, nr. 18—19;

Sprawozdania Grona c. k. konserw. Galicyi wsch. Lwów 1909, nr. 3—4;

Co się tyczy pochodzenia ceramiki malowanej i wpływu dawniej rozwiniętych centrów kulturalnych na współczesną jej kulturę, to fakt jej odkrycia w epoce kamiennej naprowadził zrazu na domysł, iż przypisać ją należy wpływom obcym. Ponieważ zaś pokrewieństwo jej z mykeńską było niezaprzeczalne, zatem wyprowadzano pochodzenie jej z wpływów mykeńskich, lub przypisywano przybyszom, którzy przynieśli ze sobą styl i technikę. Zdobnictwo to barwne uważano też za zbarbaryzowane naśladownictwo sztuki mykeńskiej, która już w epoce neolitycznej sięgała wpływami swymi okolic Dniestra i Dniepru.

Innego zdania są o tem znakomici uczeni, zajmujący się tą kwestyą: M. Much, Hub. Schmidt i E. v. Stern. Wskazują oni na fakt, zaprzeczający istnieniu jakichś stosunków handlowych pośrednich lub bezpośrednich z Mykenami, a mianowicie, iż w żadnej z tak licznych stacyi z ceramiką malowaną nie natrafiano choćby na czerep naczynia prawdziwie mykeńskiego, na wyrób kultury mykeńskiej. Nieprawdopodobne jest również przypuszczenie o przybyszach uprawiających wyrób naczyń malowanych, którym znanyby był styl i technika mykeńska. Niezrozumiałeby byłoby bowiem, dlaczego, wtajemniczając barbarzyńców północnych w sekreta „mykeńskiego systemu dekoracyi spiralnej“ i wielubarwnego malowidła matowego, nie mieliby nauczyć ich równocześnie i tem bardziej wyrobu naczyń glinianych z pomocą krążka garncarskiego, widząc, jak ci barbarzyńcy żmudnie lepili swe wyroby gliniane w ręku. Jasne jest przecież, iż wynalazek ten kultury mykeńskiej o wiele prędzej i chętniej byłby przyjęty, jako udoskonalenie wspaniałe, niż system dekoracyjny, na który mniej wrażliwi byliby zapewne ci barbarzyńcy prości.

Fakt udoskonalenia wyrobów ceramicznych z pomocą wpływów obcych, świadczyćby musiał o jakichś żywszych stosunkach handlowych, czy przemysłowych. I gdyby okazalsze wyroby malowane miały być importowane z południa, to zapewne jeszcze prę-

---

Kaindl R. Prof. Neolithische Funde mit bemalter Keramik in Koszyłowce. Jahrbuch für Altertumskunde. Wiedeń 1908, nr. 2—3 (z ilustr.):

Sprawozdania Grona c. k. konserw. Galicyi wsch. 1906, str. 20 (z ilustr.):

Strzecha ojczysta. Lwów, 1879, III. str. 6—7;

Kirkor A. Zbiór wiad. do antrop. kraj. 1879, III. str. 6—7;

Dwutygodnik naukowy. Kraków 1878, I. str. 328.

dzej musiałyby okazać się ztamtąd. znane już tam wyroby bronzowe, na których bez kwestyi bardziejby zależało ludności, używającej tylko narzędzi kamiennych. Tymczasem w osadach z ceramiką malowaną bronzy tak jakby i nieznane były całkowicie, albowiem wyjątkowo tylko trafia się na drobne okazy tego rodzaju.

Szczegóły te nie przemawiają bynajmniej za teoryą wpływów mykeńskich, wyznawaną też obecnie przez bardzo nielicznych tylko uczonych. Ogólnie przyznaje się, iż ceramika malowana poprzedniczką jest mykeńskiej i że w niej, jako prototyp, zawarte są wszystkie memeniy tejże, od linii falistej i spirali począwszy, na pierwszych próbach wyobrażenia postaci ludzkiej i zwierzęcej skończywszy. Zdaniem Sterna, ceramikę tę przypisać należy ludom neolitycznym, które w wędrówkach swych z północy na południe osiedliły Grecyę późniejszą i tam przez zetknięcie się ze Wschodem szybko dosięgły wysokiego stopnia rozwoju. Terytoryum zajęte przez nie jednolicie rozciągało się od Desny i Dniepru przez Podole i Besserabię do Dniestru do Galicyi wschodniej, przez część Węgier ku Dunajowi do Siedmiogrodu i Bukowiny, przez Rumunię i Rumelię aż do Tessalii.

Fakt, iż na geograficznie ograniczonym obszarze znajdujemy w tej samej epoce taką samą kulturę skłania do przypuszczenia, iż i ludność tego obszaru była jednolitą. M. Much i Hub. Schmidt przypisują kulturę tę Trakom, opierając się na badaniach porównawczych. tudzież na tradycye w tym względzie, zamknięte w dziełach Homera. Stern, nie wdając się w ustalanie faktów etnologicznych, przedstawia rzecz tę bardzo jasno i przystępnie. Z masy indo-europejskich ludów (za których ojczyznę nie uważa Stern oczywiście Azyi) wyodrębniły się z biegiem czasów plemiona i grupy, które na stałe osiadły w połudn.-wschodniej Europie, nad Dniestrem i Dnieprem. Tu stworzyły sobie własną kulturę, a pewne zdolności artystyczne, może początkowo poszczególnych tylko osobników lub grup, stworzyły w rezultacie wysoko rozwiniętą ceramikę malowaną. wskazującą zdobienia barwne nawet na zwykłych naczyniach glinianych. Ponieważ obszaru osiedlonego nie rozdzielały żadne góry nie do przebycia, a system rzek raczej łącząco niż dzieląco działał, zatem stosunki wzajemne sąsiadów pokrewnych stawały się tak ścisłymi. iż mimo nie zanikłego całkowicie charakteru lokalnego, terytoryum całe stanowiło jednostkę kulturalną. Zapewne pod wpływem nacisku ludów z północy wyruszone zostały z siedzib swych ludy, związane ze sobą kulturą jednakową —

opuściły ziemię, zajmowaną wieki, i w wędrówce swej z północy na południe osiedliły wybrzeża Małej Azyi, wyspy Morza Egejskiego i stały ląd grecki. Tu w nowej ojczyźnie nastąpiło wskutek właściwości kraju większe zróżnicowanie plemion i grup, jednak bez zatracenia się bez śladu wspólnej podstawy kultury dawniejszej. Tradycya Greków zachowała w pamięci wędrówkę tę w podaniach historycznych, a odkrycia, dokonane na ziemiach greckich zyskują na doskonałem wyjaśnieniu, kiedy przyjmiemy podobny bieg rzeczy. Tylko w ten sposób zrozumieć można należycie analogie, zachodzące między kulturą połudn.-wchodu Europy a najdawniejszych warstw Troi. Za wędrówką ludów, używających ceramiki malowanej, przemawia jeszcze bardzo dobitnie fakt, iż koniec ceramiki tej nad Dniestrem i Dnieprem schodzi się z początkami ceramiki analogicznej na gruncie greckim, a drogę, którą szedł ten strumień kulturalny, śledzić można na lądzie stałym aż do Tessalii, na wyspach przez Troję i Cyklady aż do Krety.

Epoka archaiczno-mykeńska, której kryteryum odrębności na obszarze Podola (i wogóle) stanowi charakterystyczna ceramika malowana, przedstawia z pomiędzy wszystkich przedhistorycznych typ, najwybitniej odznaczający się i najwyraźniej występujący. Pojawienie się tej kultury z jej starannie zabudowanemi osadami, chatami plecionemi z chrustu i wylepianemi gliną, z jej obfitemi formami pięknie malowanych i zdobionych wyrobów glinianych, licznemi figurkami postaci ludzkich i zwierzęcych — wszystko to wyrasta niespodziewanie całkiem na tle neolitu naszego. Niepostrzeżenie zjawia się, odrębnie w własnych ramach rozwija się, ale też i nagle ginie — panując u końca neolitu niepodzielnie, kończy się wraz z nim i przerywa bezpowrotnie tak dalece, że w następnych epokach nie pozostawia żadnego śladu po sobie. Nawet technika, owo nader silne i doskonałe wypalanie tych naczyń — stwierdza dr. Demetrykiewicz — tak wyjątkowe w pierwotnym okresie, znika z końcem okresu kamiennego zupełnie. W następnej epoce metali w Galicyi wsch. naczynia gliniane są stanowczo gorzej wyrabiane, oraz słabo i niedostatecznie wypalane. Wogóle z końcem doby kamiennej kultura i zaludnienie Podola radykalnie się zmieniły przez wywędrowanie ludności na południe. Przed jej nastaniem, jak również po jej usunięciu się, nie istniała żadna inna kultura, mogąca się z nią równać lub przedstawiać tylko jej początkową lub późniejszą fazę rozwojową. Nie zapowiadając się niczem, okazała się u nas jak *deus ex machina* i podobnie bez

śladu usunęła się na zawsze, przedłużając żywot swój zdala od siedlisk początkowych. [1])

IV. Kultura epoki metali.

Ludność, używająca ceramiki malowanej, wyparła za swem przybyciem dawniejszych mieszkańców Podola, po których pozostały owe potężne groby skrzynkowe — sadowiąc się w ich siedzibach, zkąd też nierzadko trafia się w tej samej miejscowości na groby skrzynkowe i na późniejsze od nich osady z ceramiką malowaną. Po usunięciu się jej, obszary opustoszałe zajęła z powrotem dawna ludność tubylcza, czasowo wypchnięta ku północy, lub wogóle gdzieś niedaleko terytoryum podolskiego, wracając po kilkuset latach w odwieczne swe pielesze. Dowodem na fakt, iż współcześnie z ludnością osad archaiczno-mykeńskich, terytoryum Galicyi dzisiejszej (dorzecze Sanu i Bugu) zajmowała ludność odrębna, z inną kulturą, służyć może znalezienie na jej obszarach charakterystycznych naczyń malowanych, importowanych widocznie z nad Dniestru i to oczywiście wtedy, kiedy na Podolu kwitła

---

[1]) Stern E. v. Die „prämykenische" Kultur in Süd-Russland. Trudy XIII. Sjezda arch. w Jekaterynosławje. Moskwa 1907, Tom I. nr. 53—95;

Butzureano. Congrès international d'anthropologie 1889. Paris 1891; str. 299 n.;

Wosinsky M. Das prähistorische Schauswerk von Lengyel 1888. zesz. I.

Ossowski G. Zbiór wiad. do antr. 1891, XV.

Palliardi J. Die neolithischen Ansiedlungen mit bemalter Keramik in Mähren und Niederoesterreich. Mitteil. der prähist. Kommission. Wien 1897, I. 4, str. 237 n.;

Zaborowski T. Bullet. de la Société d'anthrop. Paris 1900. str. 451;

Wowk T. Congrès intern. d'anthrop. et arch. préhist. Paris 1900. str. 401;

Much M. Die Heimat der Indogermanen. 1904, str. 73 n.;

Schmidt H. Troja-Mykenae-Ungarn. Zeitschr. für Ethnol. 1904, str. 608, 626, 649;

Hoernes M. Urgeschichte der Kunst. str. 301;

Demetrykiewicz Wł. dr. Materyały antr.-arch. 1900, IV. str. 113;

Janusz B. Typy etniczne i kulturalne w prehistoryi Galicyi wsch. Lwów 1911, str. 19 n.

jeszcze ceramika malowana. Z całego dzisiejszego obszaru Galicyi tylko Podole (niecałe zresztą) i część Pokucia zajęte były przez ludność, używającą naczyń malowanych — reszta należała do innego ludu, innej kultury. Fakt istnienia i działalności ludu, używającego ceramiki malowanej, w kraju, w którym stanowił odrębną całość etniczną i kulturalną, nie wykluczał współrzędnego istnienia w tym samym czasie i innej ludności odmiennej, o sobie właściwej kulturze neolitycznej. Żyły więc w okresie neolitycznym obok siebie — w granicach Galicyi dzisiejszej — dwa ludy odrębne, między którymi nie istniały najprawdopodobniej żadne stosunki, mogące w rezultacie wpłynąć na wzajemne oddziaływanie właściwych obydwom stopni kultury. Złożyć się mogły na to dwie główne przyczyny: jedna, to sam fakt zajęcia wielkiej i najprawdopodobniej najlepszej części kraju przez ludność obcą, a więc nieprzyjazną, a druga, to o wiele wyższy stopień kultury przybyszów. Zarówno więc wrogie stanowisko obustronne, jak i wyższa kultura jednych, do jakiej nie dorośli jeszcze drudzy, złożyły się na to, iż wpływy kultury naczyń malowanych nie odbiły się wybitniej w rozwoju kultury strony przeciwnej, czemu w znacznej mierze sprzyjał jeszcze stosunkowo krótki okres trwania kultury archaiczno-mykeńskiej w stronach naszych. Nieznaczne jakieś wpływy musiały mieć zapewne miejsce, ale o ile istniały to w tak niewielkim stopniu, iż nawet drobnych ich śladów nie udało się na razie stwierdzić. Naogół widoczne jest, iż dwie te kultury odmienne odmiennemi zupełnie kroczyły drogami.

Nie będziemy śledzili losów ludności tubylczej (wypchniętej czasowo z siedzib dawnych) za czas rozwoju jej, współczesnego z kulturą archaiczno-mykeńską, ale przejdziemy z kolei do zapoznania się z kulturą jej od chwili, kiedy na nowo usadowiła się na Podolu. Poprzednio zaznajomiliśmy się z charakterystycznymi jej grobami skrzynkowymi, na których też urywa się kultura jej w okresie neolitu. Obecnie zajmujemy się przejawami życia kulturalnego, rozgrywającego się na obszarach Podola po opuszczeniu ich przez ludność ceramiki malowanej, a po zajęciu powrotną falą przez ludność dawniejszą, tubylczą.

W międzyczasie, t. zn. kiedy z końcem neolitu nad Dniestrem usadowiła się ludność nowa, zaszedł w dziejach rozwoju ludzkości fakt niezwykle doniosły, a mianowicie po raz pierwszy zaznajomienie się z metalem, który zastąpić miał dotychczasowy materyał kamienny, używany do wyrobu narzędzi najważniejszych. Daleko, w Azyi połudn.-zachodniej poczęto wydobywać w kopal-

niach miedź, znaną w Egipcie już w piątem tysiącleciu, a na Cyprze w początkach czwartego tysiąclecia przed Chr.; około 3000 r. pojawia się w Hiszpanii. a nieco później w Anglii. gdzie istnieją bogate jej miny. Pierwszy ten kruszec, z którym ludzkość zapoznała się, dotarł i na Węgry. gdzie początek dał bardzo wielkiemu rozwojowi kultury, właściwej całej epoce. t. zw. miedzianej. Z Węgier dostawał się drogą handlową i do krajów ościennych. a zatem i do Galicyi wschodniej, ale w tak nieznacznej ilości, iż dziś wyroby miedziane z tych czasów należą do wielkiej u nas rzadkości. I kiedy na Węgrzech n. p. panowała epoka miedziana, po neolitycznej, to u nas i nadal trwał okres czysto kamienny. Rzecz się podobnie miała do chwili zastąpienia miedzi z kolei nowym metalem, a mianowicie o wiele cenniejszym od niej, bo praktyczniejszym w użyciu bronzem. W krajach. gdzie po raz pierwszy poczęto miedź topić, dokonano wnet nowego odkrycia, przekonując się, iż kruszec ten zyskuje bardzo na mocy i wytrzymałości, przez dodanie doń pewnej ilości innego kruszcu, a mianowicie cyny. W ten sposób wynaleziono bronz, który jest stopem mniej więcej 9 części miedzi i jednej części cyny. Drogą stosunków handlowych dotarł bronz wnet do południowych krajów europejskich, a następnie i do środkowych — na Węgrzech zwłaszcza, (po epoce miedzianej) zakwitła bardzo kultura bronzowa, której wpływom kraj nasz właśnie wyłącznie prawie zawdzięcza i te jej drobne objawy, jakie prehistorya dzisiejsza na podstawie wykopalisk notuje. Jak bowiem nie miała u nas nigdy miejsca kultura czysto miedziana, tak i nie przechodziliśmy w rozwoju swym i kultury czysto bronzowej. Obok niefortunnego położenia geograficznego, przyczynił się do tego najbardziej całkowity brak w kraju naszym miedzi i cyny. Nie mieśliśmy metali tych na miejscu, a i dostać nie mogliśmy od obcych, jak — tak obficie otrzymywała je ludność Węgier. Nie znaczy to, by ludność przedhistoryczna Galicyi nie miała znać całkowicie bronzu, ale stanowił on tu taką rzadkość, iż tylko uprzywilejowani mogli poszczycić się posiadaniem jakiegoś wyrobu bronzowego — ogół ludności i nadal, wieki całe. ograniczać się musiał do dawnych narzędzi kamiennych Wyjątkowo tylko stykał się z bronzem i to przeważnie tylko w postaci drobnych wyrobów ozdoby, a nie narzędzi użytku codziennego, nie mówiąc już o broni. I kiedy w innych. szczęśliwszych pod tym względem krajach Europy, rozwój cywilizacyjny postępował dzięki ulepszonym warunkom pracy coraz szybszym krokiem naprzód. to ludność przedhistoryczna kraju naszego wiekami całymi pozostawała na prawie

jednakowym stopniu kultury, której tło stanowiła i nadal kultura kamienia.

U kresu epoki naczyń malowanych okazywać się już poczęły na Podolu drobne przedmioty bronzowe (szydła, paciorki, blaszki) a i nieco miedziane (w jaskini w Bilczu — pręt miedziany). Z tego samego źródła, z którego ludność tej epoki otrzymywała pierwsze te wyroby metalowe, otrzymywać je mogła następnie i ludność, co po niej znowu Podole zajęła. W każdym razie, o epoce po archaiczno-mykeńskiej, nie można już mówić jako o czysto neolitycznej, chociaż i za bronzową uważać jej nie można — obok narzędzi kamiennych pojawiają się i drobne wyroby bronzowe, znajdowane też zazwyczaj obok kamiennych tak na miejscu osad, jak i w grobach tych czasów. Wyroby te bronzowe stawały się z czasem nieco częstszymi u nas, ale nigdy nie zdołały wyprzeć kamiennych na tyle, by można było mówić choćby w epoce jakiejś niedługiej, o kulturze bronzowej takiej, jak w innych krajach Europy. Dlatego też odnośnie do prehistoryi Galicyi wschodniej nie ma racyi podział trójepokowy, ponieważ kultura całej doby przedhistorycznej Galicyi uważana być musi właściwie za kamienną i to czysto kamienną w neolicie, a przeważnie kamienną w wiekach późniejszych. O ile zaś zechcemy niemniej przeprowadzić ów podział utarty, to chyba w rozumieniu chronologicznem, t. zn. mówiąc o epoce bronzowej, mieć na myśli czasy, w których obok kamienia i bronz był znany. Określenia jednak tego nie można rozumieć tak, jak się go rozumie odnośnie do prehistoryi innych krajów europejskich.

Istnieje natomiast inny, bardziej odpowiadający stosunkom przedhistorycznym u nas, sposób przeprowadzenia pewnego koniecznego podziału chronologicznego, a przez to bardziej odnośnie do typów kulturalnych. Wymiernikiem tym są mianowicie charakterystyczne obrzędy pogrzebowe; szkieletowy i ciałopalny. Groby szkieletowe stanowią dla siebie pewną całość jednolitą, grupę chronologiczną i typową — podobnie ma się rzecz i z ciałopalnymi. Starszymi są groby pierwszego rodzaju, przechodzące w formach swych pewne stadya rozwojowe, składające się jednak na ciągłość nieprzerwaną. Grupy ciałopalne są późniejsze, a w jakim stoją stosunku do tamtych, dowiemy się w ciągu dalszym.

A. Groby szkieletowe.

Kwestya, czy nad grobami skrzynkowymi usypywano kurhany, nie jest całkiem jasna: wiadomości dawniejsze wspominają

o rzekomych jakichś usypiskach nad nimi, odkrycia zaś nowsze nie potwierdzają tego. Istnieją jednak kurhany, wprawdzie nie całkiem zdeterminowane chronologicznie, które pochodzić się zdają z epoki neolitycznej, lub jej przejścia w czasy znajomości już i bronzu. Znane są też wypadki, w których grób neolityczny odkrywano wprost w ziemi, bez jakiegokolwiek oznaczenia go z wierzchu. Przypuszczalnie zatem, zwyczaj sypania mogił nad grobami praktykowany był w wypadkach pewnych obok zwykłego chowania zmarłych, jak też rzecz się miała za cały czas epoki przedhistorycznej. Stąd też znane są współcześnie istniejące groby płaskie i kurhanowe od końca neolitu począwszy.

Na koniec neolitu przypada kilka odkrytych na Podolu grobów szkieletowych, płaskich i kurhanowych. Ciekawy zwłaszcza jest odkryty przez Kirkora w 1877 r. w Beremianach (pow. Zaleszczyki), znanych już nam z grobu skrzynkowego. Grób ten zbudowany był z brył kamiennych, ustawionych w krąg jedna na drugiej i przykrytych z wierzchu płytą. Wewnątrz kręgu znalazły się dwa szkielety w pozycyi siedzącej (skurczonej?), głowami zwrócone na wschód, spoczywające na płytach, któremi wyłożone było dno grobów. Były one całkowicie prawie pogruchotane, a znaleziono przy nich szpilę bronzową, 31 cm. długą, z główką w postaci daszka z przebitą dziurką do przeciągania sznurka, związującego włosy. Przy drugim szkielecie leżał mały krzemień obrobiony. Czerepy gliniane wyrobem i kolorem gliny zbliżone są bardzo do pochodzących z neolitycznych grobów skrzynkowych, z którymi grób ten wogóle widocznie jest spokrewniony. Jak w grobach skrzynkowych, mieścił nie jeden szkielet w skurczonej również pozycyi, a także rodzaj naczyń, pokrewnych wyrobom glinianym grobów tamtych i najpewniej odnieść go należy wskutek tego do epoki przejściowej od neolitu do bronzu. Pomiary antropologiczne wykazały, iż jeden szkielet należał do mężczyzny, drugi do kobiety — obydwa zaś stanowiły typ długogłowy, a zatem podobnie jak się rzecz ma zazwyczaj w grobach skrzynkowych [1])

W drugiej miejscowości, znanej już nam z grobu skrzynkowego, w Chorostkowie (pow. Husiatyn), natrafiono również na grób, pochodzący najniezawodniej z końca neolitu. W 1889 r. przekopał tu G. Ossowski jeden z trzech, stojących obok siebie kurhanów. Znacznie zorany, dochodził metra wysokości, a w $\frac{1}{2}$ m.

[1]) Kirkor A. Zbiór wiad. do antr. kraj. 1878, II. str. 6—9; Kopernicki Iz. dr. Tamże 1879, III. str. 34.

głębokości od wierzchołka mieścił kilkadziesiąt niewielkich płytek wapniowych, rozrzuconych w nieładzie przy orce. Bezpośrednio pod niemi, okazały się, także przez pług rozrzucone kości, zniszczone zupełnie, między któremi znalazło się małe naczyńko gliniane i jedna ozdoba bursztynowa. Naczynie ma ucho, a ścianki zaraz od dna podnoszą się do góry, rozszerzając się powoli przy otworze: koloru błotnistego, wylepione starannie, ale wypalone słabo, ozdobione jest ornamentem sznurkowym, obejmującym je dokoła dziewięcioma parami sznurków, rozmieszczonych nierówno. Tak naczynie zdobne podobnie, jak i przedmiot bursztynowy, wskazują na neolityczne pochodzenie grobu, co jest tem ciekawsze, iż znalazł się on w miejscowości znanej i z grobu skrzynkowego. [1]).

W Uwiśle (pow. Husiatyn), znanej również z grobu skrzynkowego, natrafiano w 1899 r. w półn. stronie wsi, obok dworu, na szkielet ludzki, pogrzebany wprost w ziemi, głową zwrócony ku wschodowi; w skurczonej pozycyi, z rękami przygiętemi do piersi, leżał na prawym boku. Na klatce piersiowej leżał siekieromłot z rogu jelenia, starannie wygładzony, z otworem okrągłym. Nie znaleziono nic ponadto, a wnosić tylko można, iż grób pochodzi z późniejsych czasów neolitu. [2])

Na szkieletowy grób, prawdopodobnie również z neolitu, natrafił Ossowski w jednej z 22 mogił w Szydłowcach (pow. Husiatyn) w 1890 r. Wysoka na 2 m., składała się aż do poziomu gruntu z małych płytek i drobniejszych bryłek z wierzchu, a poniżej z brył większych i płyt kamiennych, przemieszanych z czarną ziemią. Nasyp ten nakrywał wielki, prawidłowo zbudowany krąg kamienny, 9 m. średnicy, ułożony na powierzchni gruntu z bardzo starannie dobranych i ściśle dopasowanych płyt kamiennych, położonych w dwa rzędy, do wysokości jednego metra. Cała kręgiem tym zajęta przestrzeń wewnętrzna, zawalona była także mieszanina płyt, brył i ziemi czarnej, po usunięciu jakich wystąpiła jasnego koloru powierzchnia gruntu. Na tle tegoż, przy południowo-wschodniej ćwiartce kręgu, wystąpiła podłużna grupa ścisłej przy sobie ułożonych kamieni, a w środku jego czarnego koloru, wielka figura czworoboczna, 3·48 m. długa w zach.-wschodnim i 2·50 m. szeroka w półn.-południowym kierunku. Po rozebraniu grupy kamieni w południowej części kręgu pokazało się, że mieściły one szkielet dzie-

[1]) Ossowski G. Zbiór wiad. do antr. kraj. 1890, XIV, str. 40—44; Wiadom. num.-archeologiczne. 1890, str. 59.

[2]) Idem. Tamże, str. 46—9 (rys.).

cka małego, położony na grzbiecie, głową na północ, nogami na południe. Dolnych kości tego szkieletu nie było całkiem, ponieważ końcem swym dotykał grób ten obwodu kręgu grobu późniejszego, znajdującego się w środku samym. W ten sposób przy budowie ściany kamiennej naruszony został koniec grobu, a kości szkieletu odcięte. Przy szyi szkieletu znalazł się wisiorek z kości zwierzęcej, przebitej do zawieszania, z czego wnosić można o neolitycznem prawdopodobnie pochodzeniu grobu. [1])

Neolityczne groby mieścić się zdają też mogiły w Podwysokiem (pow. Brzeżany), w których obok kości ludzkich znajdowano naczynia gliniane i krzemienie. [2])

Neolityczne mogiły znajdują się w Postołówce (pow. Husiatyn), jak wnosić można z tego, iż w jednej z nich znaleziono siekierkę krzemienną i naczynie gliniane. W pobliżu natrafiono przy przekopywaniu drogi na naczynie miedziane i szkielet ludzki z kulczykami bronzowymi w uszach i rzekomo w nosie. [3]) Szczegół ten wskazywałby na pochodzenie grobów z epoki przejściowej od neolitu do bronzu.

Zdecydowanie już nie neolitycznymi są groby późniejsze, do których z kolei przejdziemy. Nie stanowią one typu, obcego pochodzeniem grobom dawniejszym, przedstawiając w postaci swej tylko dalszy ich rozwój ewolucyjny. W budowie różnią się one od skrzynkowych jedynie odmiennym nieco sposobem urządzenia. Kiedy mianowicie do grobów skrzynkowych używano całych przeważnie płyt kamiennych, zestawionych na podobieństwo skrzynki podłużnej, to groby późniejsze, t. zw. płytowe i podpłytowe, różnią się od nich jedynie tem, iż wewnątrz nie mają skrzynki, lecz ułożone są na podobieństwo jej z mniejszych lub większych głazów, nakrytych z góry jedną ogromną płytą kamienną. Do tego gatunku należy i odmiana w postaci kręgów, układanych z kamieni, w obrębie których spoczywają zwłoki jednego lub więcej nieboszczyków. Grób taki przesypywano ziemią, a dopiero na to kładziono płytę ciężką. Chowano też zmarłych wprost do ziemi, przesypywano ziemią, a następnie przywalano płytą kamienną.

Groby te, zestawione razem, tak bliskie wykazują pokrewieństwo, iż nie stanowiąc odrębności zasadniczej, łatwo wyjaśnić się dadzą w swych odmianach związkiem genetycznym, albo też naj-

[1]) Ossowski G. Zbiór wiad. do antr. 1891, XV. 73—80 (rys.).
[2]) Sznajder A. Encyklopedya do krajoznawstwa. Lwów 1874, II. str. 389.
[3]) Sprawozdania Grona konserw. Galicyi wsch. 1910, str. 8.

widoczniejszą analogią, zachodzącą miedzy ich rodzajami poszczególnymi. I nie tylko w swej budowie nie różnią się wiele nawzajem, ale i cechy fizyczne, pochowanej w nich ludności przemawiać się zdają za tożsamością ludności grobów skrzynkowych z ludnością późniejszej epoki metali. Co się zaś tyczy wspólności kulturalnej, zachodzącej między temi odmianami typów grzebalnych, to nie brak dowodów, przemawiających i za tem, oczywiście z uwzględnieniem chronologicznego następstwa stopni rozwojowych. Omówienie poniższe wszystkich grobów tego rodzaju na terytoryum Podola wyjaśni najlepiej kwestye wspomniane.

Bohdan Janusz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

Prenumerata wynosi: w cesarstwie austryackiem rocznie **8** K, półrocznie **4** K, ćwierćrocznie **2** K, w granicach Niemiec rocznie **3** talary, półrocznie **1½** talara, którą prosimy nadsyłać (najdogodniej przekazem pocztowym) pod adresem: **Administracya „Gazety Lwowskiej“.**

Cena księgarska (główny skład w Galicyi w księgarni Gubrynowicza i Syna) za rocznik czyli 1 tom **10** K, za pół roku **5** K, za ćwierć roku **2** K **50** h, za zeszyt **1** K.

Prenumeratorowie „Gazety Lwowskiej“, którzy uiszczą przedpłatę na „Gazetę“ z góry za cały rok (od 1. stycznia) lub za pół roku (od 1 stycznia lub od 1 lipca) otrzymają „Przewodnik“ bezpłatnie, zaś prenumeratorowie ćwierćroczni i miesięczni na żądanie za dopłatą pierwsi **1** K **50** h na kwartał, drudzy **60** h za zeszyt.
